W młodych oczach

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

(ZATWIERDZONE DO BIBLIOTEK UCZNIOWSKICH DLA MŁODZIEŻY POWYŻEJ LAT 14 PRZEZ MIN. W. R. i O. P., 15. VII. 38. Nr. II. Pr. — 16007/38).



... w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest HONOR.

Józef Beck (5. V. 1939)

NR 5 (18) WARSZAWA ROK 3

WYD. ORGANIZACJA PRACY OBYWATELSKIEJ MŁODZIEŻY STRAŻ PRZEDNIA

MŁUDZIK MIECZYSŁAW, (Sandomierz, lic.)

ZMARTWYCHWSTAJĄCEMU

12.V.1935 —— **12.V.1939**

CÓŻ, ŻE CI TAM SAMOTNIE NA SOSNOWYM DNIE TRUMNY;
CÓŻ, ŻE PIERSIOM PRZESTRONNYM ODDECHU NIE STAJE;
— TY WSZYSTKIEMU URĄGASZ, MILCZĄCY I DUMNY,
BO WNĘTRZNĄ MOCĄ SWOJĄ GDY CHCESZ — ZMARTWYCHWSTAJESZ.

— —

WCZESNYM CZASEM NADRANNYM W NARCYZACH ROZKWITASZ
I WSTAJESZ NAD ŁĄKAMI WIATREM MOCNYM, ŚWIEŻYM;
A MY, CHŁONĄC DZIEŃ ZDROWY, POZNAJEM I WIERZYM,
ŻE TO TY SIĘ TAK Z NAMI MIŁUJĄCO WITASZ.

NOCĄ WIDNĄ I DZIWNĄ PODNOSISZ SIĘ MGŁAMI,
ŻE WSZYSTKA SIĘ DAL TOBĄ, JAKO LNEM BŁĘKITNI.
WSZYSTKA ZIEMIA CI DYMI MIRTAMI I ŁZAMI
NIBY HYMNEM NAJŚWIĘTSZYM, — PACHNĄCYM I ŻYTNIM.

A GDY OBEJDZIESZ ZIEMIĘ SWĄ SELEDYNOWĄ,
GDY SIĘ NACIESZYSZ KRAJEM ŻYJĄCYM I ŻYZNYM,
TO ZNÓW WRÓCISZ DO TRUMNY, I PEŁEN OJCZYZNY
BĘDZIESZ SŁUCHAŁ JEJ ŚPIEWU W SOSNACH NAD SWĄ GŁOWĄ.

SOSNY PŁACZĄ ŻYWICĄ PO CZERWONEJ KORZE —
— ŚWIERKI ŁAMIĄ GAŁĘZIE — WODA DRŻY I SZLOCHA —.
— Z TEJ PIEŚNI MUSISZ POJĄĆ, JAK WSZYSTKO CIĘ KOCHA
TERAZ, ZAWSZE, W DZIEŃ, W NOCY I O KAŻDEJ PORZE.

ZBIGNIEW STRZĘBALSKI (Kielce, lic.)

W SANKTUARIUM JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Kielce — miasto Czynu Legionowego. Miasto wśród pól przesiąkniętych krwią żołnierza walczącego o Polskę. Kielce — oblane błękitem niebieskim, dumnie wyrosłe wśród lasów świętokrzyskich.

Kielce — miasto najdroższych pamiątek i wspomnień, po pierwszym bojowniku Niepodległej Polski. Symbolem dumnych Kielc jest sylwetka czterech legionistów strudzonych marszem Kadrowej. Sława jej okryła Kielce bohaterskim sztandarem, a echo jej pobudki pozostało na zawsze w czarnym gąszczu puszczy jodłowej.

W pierwszym miesiącu Wielkiej Wojny, trzy małe, do siebie przylegające sale w Pałacu Biskupów Krakowskich w Kielcach, były kwaterą Wielkiego Marszałka. Salki te, obecnie przerobione, tworzą **Sanktuarium Józefa Piłsudskiego.** Do muzeum wchodzi się osobnym wejściem od strony parku wojewódzkiego. Nad wspaniałymi odrzwiami widnieje wykuty w piaskowcu werset Słowackiego: „Ufaj mi synu, jeśli wytkniesz sobie drogę, a prostą — to choćby do słońca zalecisz, często na krzyżu lub grobie odpoczywając. Lecże więc bez końca, a będziesz chodził w anielskiej ozdobie, jako ojczyzny i wiary obrońca. A nim zasługi twoje w niebie zginą, ziemia przeminie i gwiazdy przeminą".

W przedsionku, osiem kopii sztandarów pułkowych na tle portali zdobi wnętrze. W drugiej komnacie, łączącej się z przedsionkiem, wyłożonej marmurami stoi na środku kolumna, zdobna czterema orłami legionowymi. Na głowicy znajduje się maska pośmiertna Marszałka Piłsudskiego.

W oknach grają kolorowe witraże, nadając przedziwny ton całej komnacie. Piękne drzwi drugiej sali prowadzą wprost do dużej szklanej, niby powierzchnia płynącej rzeki górskiej gabloty, wktórej znajduje się szaro-popielaty mundur Pierwszego Legionisty. Srebrne guziki, niby gwiazdy krzyżują się za spojrzeniem. Oczy nabierają dziwnego blasku, gdy patrzy się na ten mundur...

Minąwszy trzecią salę, wktórej znajduje się jedynie „kominek Marszałka" wchodzi się do ostatniej sali — kapliczki Matki Boskiej Ostrobramskiej.

w młodych oczach

czasopismo młodzieży szkolnej

(zatwierdzone do bibliotek uczniowskich dla młodzieży powyżej lat 14-tu przez Min. W. R. i O. P.

Wyd. przez O. P. O. M. STRAŻ PRZEDNIA

Nr 5 (18) Maj 1939 r. Rok 3

PIONIERZY NOWEGO STYLU

Wchodzi w życie pierwszy rocznik nowej szkoły średniej. To ci, co przeszli od początku gimnazjum nowego typu oraz liceum, czyli doświadczyli w pełni skutków reformy, unowocześniającej naszą szkołę średnią. Zbyteczna stwierdzać, jak ważny jest to fakt i jak wiele nadziei wiąże z nim całe społeczeństwo. Pierwsi absolwenci będą śledzeni niewątpliwie z uwagą i niepokojem; według użytku, jaki zrobią ze swego przygotowania, sądzić się będzie o wartości szkoły. Egzamin dojrzałości, jaki złożyli w szkole, był właściwie tylko ostatnią ceremonią szkolną. Życie, które czeka na nowe roczniki inteligencji, wyegzaminuje je **sprawnie, szybko** i **nieomylnie**. Życie oceni najlepiej, ile są warci i co warta była ta nauka.

Albowiem trzeba na tym miejscu zaprzeczyć pewnemu dość powszechnie przyjętemu przekonaniu. To nieprawda, że ze szkoły — w świat, jest to skok na inną planetę, gdzie **nikt** nie troszczy się o nabytą wiedzę, gdzie ważny jest tylko urzędowy patent na inteligenta, a decydującą zaletą — tupet i mocne łokcie względnie plecy. Nie. W życiu na każdym kroku czeka dziś nowicjusza pytanie: **co umiesz?** I z łaciny i z geografii i z chemii i nawet z literatury. Na każdym kroku dręczyć go będą pytaniem: co umiesz najlepiej i jakie rokujesz nadzieje? Jeśli nic nie umie, nic nie rokuje, a ze szkoły pozostały mu jedynie w głowie nazwiska kolegów i co ważniejsze „potańcówki" szkolne, tedy któż zechce go traktować serio a chociażby „popierać", w przekonaniu, że słusznie czyni?

Wiadomo, jakie potoki skarg i lamentów lały się na starą szkołę i jej wychowanków. Skarżyły się szkoły wyższe i wojsko, urzędy, fabryki i biura. Na porządku dziennym było wytykanie w prasie różnym kandydatom nieuctwa: A to, że „Kościuszko... w powstaniu styczniowym", że „nauka" piszą przez ó, że mnożyć i dzielić nie umieją, że nie słyszeli, kto to Sienkiewicz itp. Ostatnio pewien mąż stanu i profesor szkoły wyższej stwierdził w Sejmie, że studenci nie posiadają przygotowania i umiejętności pracy. Struktura zawodowa naszej inteligencji cierpi na dysproporcje. Mamy mało inżynierów i lekarzy, dużo prawników i humanistów ale najwięcej tych, których jedynym tytułem do miana inteligenta jest to, że wszystko wiedzą „ogólnie" ale n i c szczegółowo. Ci doktorzy wszech nauk po łebkach, którym wykształcenie starczy zaledwie na salonową rozmowę, są klęską polskiej pracy. Jest to **groźna armia dyletantów,** która chciałaby robić w Polsce wszystko a potrafi bardzo niewiele. Ot, wygotować jakiś akcik, memoriał, papierek i posłać „do dalszego urzędowania", oto do czego sprowadza się często robota tego gatunku inteligencji pracującej. To też ten rodzaj ludzi najwydatniej zasila naszą biurokrację.

Nieuctwo, powierzchowna ogłada, dyletantyzm i biurokratyzm — te braki i klęski spowodowane były głównie przez to, że nie wyrobili w sobie za młodu cnót takich jak: zamiłowanie do studiów, do wiedzy gruntownej, do specjalizacji i żywej, konkretnej pracy. Absolwenci liceów mogą dziś stwierdzić, że jako

„pierwsza seria" włożyli sporo wysiłku, by cechy te w sobie wyrobić. Nie przepróżniaczyli liceum, nie przebębnili paznokciowej wiedzy, nie szastali się nazbyt po wagarach, nie szlifowali bruków, nie wysiadywali krzeseł po kinach czy ławek po parkach. Wiadomo, iż jak Polska długa i szeroka — **pierwsze liceum pracowało dzielnie,** dając tym początek nowej erze uczniowskiej, stwarzając nowy **styl** szkoły polskiej i **nowy typ ucznia.**

Na drogę życia życzymy naszym kol. maturzystom, by powiodło im się również wnieść ten styl pracy konkretnej, umiejętnej i umiłowanej — w życie.

MŁODZIEŻ NA SAMOLOTY!

Rozwój lotnictwa to zwiększenie nie tylko ilości samolotów ale i — lotników. Lotnictwu naszemu potrzeba napływu młodzieży zdrowej, silnej i pełnej zapału do latania. Jak zostać lotnikiem? Podajemy tu garść informacji:



Kandydaci na lotników przedpoborowi i poborowi przechodzą najpierw w Centrum Badań Lotniczo-Lekarskich szczegółowe badania fiziologiczne i psychotechniczne, sprawdzające nie tylko stan zdrowotności organizmu, ale i wytrzymałość nerwową, orientację, poczucie równowagi, pamięć wzrokową itd.

Kandydaci zakwalifikowani przez „Centrum Badań" zostają wysłani na kurs szybowcowy do Ustjanowej. Kurs ten ma nie tylko na celu oswojenie kandydata z powietrzem, ale i zbadanie zdolności lotniczych i cech charakteru kwalifikujących na lotnika wojskowego.

Ustjanowa, mimo warunków do pewnego stopnia kampingowych, jest wzorem sprawnej organizacji i ładu. Ma najnowsze urządzenia wyszkoleniowe i sprzęt oraz doskonale postawione warsztaty, o poziomie zaś szkolenia świadczy fakt, że ubiegłego roku na dwa tysiące uczniów nie było ani jednego poważniejszego wypadku.

Uczniowie są otoczeni stałą opieką lekarską, przy czym kto tylko odczuwa najmniejszy strach czy niechęć do latania, może zrezygnować z dalszego kursu.

Po kursie szybowcowym przedpoborowi zakwalifikowani na lotników przechodzą pierwsze przeszkolenie na samolotach RWD 8 typu szkolnego w ośrodkach P. W. lotniczego lub w szkołach lotniczych L.O.P.P. dla przedpoborowych. Szkoły takie mamy w Bielsku, Stanisławowie, w Świdniku pod Lublinem i w Masłowie pod Kielcami u stóp Gór Świętokrzyskich.

Poborowi idą do Podchorążówki Lotniczej w Dęblinie. Szkoła ta ma wyrobione tradycje lotnicze, dała nam już 11 roczników wybitnych lotników.

Pod względem organizacji i urządzeń szkoła dęblińska stała się wzorem dla wielu szkół zagranicą.

Kurs trwa trzy lata; piloci otrzymują całkowite przeszkolenie włącznie z nauką akrobacji na samolotach myśliwskich, obserwatorzy zaś całkowite wyszkolenie obserwatorskie. Prócz tego wykłada się tam około czterdziestu przedmiotów teoretycznych przeważnie specjalnych lotniczych i technicznych według najnowszych zdobyczy na tym polu.

Szkoła ma najnowsze urządzenia zarówno techniczno-lotnicze jak i naukowe oraz higieniczne, nie mówiąc już o pięknych, jasnych salach, parku, plaży, urządzeniach do sportu, gimnastyki itd. O roli sportu w lotnictwie mówią osiągnięte wyniki w r. 1938. Wojskowy Klub sportowy „Orlęta" w Dęblinie zdobył zaszczytne drużynowe mistrzostwo Polski w lekkiej atletyce. W tegorocznych zawodach narciarskich zdobyli lotnicy największą ilość punktowanych miejsc, w tym dwa pierwsze.

Godną szczególnego podkreślenia jest rola narciarstwa w lotnictwie. Piękny ten sport uznano już przed kilku laty za najodpowiedniejszy dla lotników i wszyscy lotnicy obowiązkowo co roku spędzają dwa tygodnie na obozach wypoczynkowo-narciarskich w górach.





Zrealizowane życzenia Wielkiego Marszałka

UNIA HISTORII I KRWI

Napisał Józef Walczewski

Znany jest powszechnie wielki sentyment, jakim Józef Piłsudski darzył Litwę. Jednym z marzeń Marszałka było ułożenie ścisłego braterskiego współżycia obu wyzwolonych i odrodzonych, a tak silnie związanych z sobą przez dzieje narodów.

Rzeczywistość za życia Piłsudskiego przyniosła tu gorzkie rozczarowania. Młody nacjonalizm litewski — podjudzany przez obcych — wyładowywał się właśnie przeciw Polsce, tworząc główny front obronny przed możliwością zalewu przez... wpływy kultury **polskiej. Republika Litewska,** w której dorwali się do władzy tacy ludzie, jak osławiony Waldemaras, stanęła w rzędzie najzacieklejszych **wrogów Polski.**

W ciągu lat prawie dwudziestu stosunki polsko-litewskie były czymś zupełnie wyjątkowym. Po prostu — nie istniały. Zerwano szyny kolejowe, zarosły trawą drogi, granica stała się jakby chińskim murem, oddzielającym od siebie dwa narody i dwa państwa. Aby dostać się na terytorium drugiego państwa, trzeba było jechać przez Prusy Wschodnie, lub przez Łotwę, gdyż o bezpośrednim przekroczeniu granicy polsko-litewskiej nie można było nawet marzyć.

Józef Piłsudski bolał nad absurdalnością tej sytuacji i niejednokrotnie podejmował próby, aby stosunki polsko-litewskie ułożyć w sposób rozsądny, zgodny z tradycją i braterstwem obu narodów i odpowiadający interesom obu państw. W Genewie, na posiedzeniu Rady Ligi Narodów w 1938 r. Wielki Marszałek zwrócił się do Waldemarasa z kategorycznym pytaniem: „Pokój, czy wojna?". Przyparty do muru premier litewski, odpowiedział wprawdzie, że pragnie pokoju — nie miało to jednak praktycznych następstw dla zmian na „martwej" granicy polsko-litewskiej.

I tak już było do końca życia Marszałka...

Przełom w stosunkach polsko-litewskich nastąpił dopiero — jak wiadomo — w marcu 1938 r. Po chwilowym napięciu, spowodowanym incydentem granicznym, Litwa, wobec stanowczego żądania Polski, zgodziła się na nawiązanie stosunków dyplomatycznych.

Od tego czasu normalizacja stosunków polsko-litewskich nieprzerwanie krok za krokiem postępuje naprzód, obejmując coraz to nowe dziedziny. Nawiązano komunikację kolejową i lotniczą, zorganizowano obrót pocztowy. Wzmogły się wydatnie bezpośrednie kontakty między Polakami a Litwinami zainteresowanymi tym, co się naprawdę dzieje po drugiej stronie „martwej" dotychczas granicy. Zaczęła świtać nadzieja nie wrogiego, ani nawet obojętnego, ale **przyjaznego** ułożenia stosunków polsko-litewskich.

Rząd Polski poczynił ułatwienia życiu kulturalnemu mniejszości litewskiej na Wileńszczyźnie, Rząd Litewski zdecydował się rozwiązać osławiony „Związek wyzwolenia Wilna", którego działalność wnosiła tyle zgrzytów w stosunki między Polską a Litwą. Zawarte też zostało między obu państwami ważne porozumienie, usuwające wzajemne ataki i ustanawiające **współpracę** w dziedzinie **prasy i radia.**

Doniosłe znaczenie posiada również zawarcie **traktatu handlowego,** który otwiera tak pożyteczną dla stron obu współpracę gospodarczą. Podpisana ostatnio **umowa turystyczna** winna się przyczynić do lepszego wzajemnego poznania obu krajów.

Ważniejszy może jeszcze od zmian formalno-umownych był przełom, który nastąpił **w psychice** litewskiej. Ugruntowana złą tradycją i skwapliwie podsycana przez obce czynniki nieufność i uprzedzenie opinii litewskiej wobec Polski stajało, zmieniając się w stan „wzajemnej przyjaźni i zaufania". Tak określił to nowy poseł litewski w Warszawie przy składaniu listów uwierzytelniających na Zamku. Nie był to tylko dyplomatyczny frazes. Był to zarówno wyraz szczerej woli, jak i **trzeźwej oceny** już istniejącego i tworzonego nadal stanu rzeczy.

Rozwój wypadków dalszych jest znany. Na skutek nagłej, niczym nieumotywowanej agresji obcej Litwa utraciła swój ośrodek gospodarczy, wiążący ją z morzem. Państwo, które zdawało się obłudnie uchodzić za przyjaciela Litwy, odsłoniło maskę. Rzekomy opiekun i sprzymierzeniec okazał się **śmiertelnym wrogiem.** Historia powtarza się. Od zachodu i północy napiera na Litwę potęga stokroć groźniejsza, niż **dawny zakon krzyżacki.** Natomiast granica, której Litwa do niedawna nie chciała uznawać, **granica polska** staje się dla niej **istotnym i trwałym oparciem.** Dlatego jesteśmy spokojni o przyszłość przyjaźni polsko-litewskiej, o przyszłość **nowego współżycia** dwóch unią historii i krwi związanych narodów.

Jednego z najdroższych marzeń Marszałka Piłsudskiego za Jego życia nie udało się jeszcze przyoblec w czyn. Jak w wielu jednak innych wypadkach, tak i tutaj **kształtująca dzieje wola Wskrzesiciela Polski** wybiegła po za datę Jego śmierci i została zrealizowana w myśl wskazań, które pozostawił.

WIOSNA BIJE W HANGAR

Napisał Tadeusz Stasinowski (lic. Inowroc).

Marcowe słońce osuszyło już nieco brudną zieleń lotniska i bracia piloci wpadli któregoś dnia hurmem do hangaru. Rozwarli z trzaskiem ciężkie drzwi z blachy falistej. Słońce rozdarło mrok.

Arystokracja lotnicza — motorowcy — z należytym nabożeństwem zebrała się do zdejmowania pokrowców z zielonych „erwudziaków". Każdy „sztyft" wścibiał nos w silnik, któremu miał powierzać swe cenne zdrowie raz na tydzień mniejwięcej na pięć minut, i skrupulatnie badał wszystko: od zaoliwionych „kaloszy" do ostatniej śrubki w obsadzie śmigła. Na stole w lokalu klubowym ktoś z kątomierzem w ręku obliczał dalekie kursy, które mu się „przyśniły". Ktoś inny z entuzjazmem opowiadał o dęblińskich cudach, widzianych z pociągu.

Najpierw, bracie — matura — strącił go na ziemię jakiś realista i pociągnął ze sobą do hangaru. — Chodź synku, chodź! Przy ogonie wakuje posada!...

— Marzyciel poczuł na ramieniu setnie uciskające stalowe pióro płozy ósemki. Dwóch innych stanęło przy zastrzałach.

Zielony ptak wytoczył się zhangaru.

W drugim kącie ogromnej hali gromadka szybowników deliberowała smętnie nad stosem płótna i patyków. Z tego miała powstać — „Czajka". Szybowiec był „w proszku", gruntownie rozmontowany, a przy każdym dotknięciu jakiejkolwiek części pozostawała na ręku gruba warstwa kurzu przyprawionego wazeliną.

— Trzeba to wyczyścić i złożyć, może się będzie jakoś grat trzymał.

„Szybowiciele" zakasali rękawy i praca ruszyła.

...Po trzech godzinach na ramionach szybowników wyjechała z hangaru błyszcząca niepokalaną bielą płata i sterów, smukła, zgrabniutka „Czajka". „Arystokracja" mozoliła się tymczasem nad schowanym pod osłonami 110-konnym Walterem „ósemki", który po długim śnie zimowym ani myślał zaskoczyć. Szybowiec znalazł się na wózku, z hangaru wymknął się samochód-holownik z bloczkiem i linką stalową. Pochód ruszył z wiatrem na drugi koniec lotniska, gdzie w słońcu bielał rozciągnięty znak startowy w kształcie litery T. Na starcie załopotała czerwono-biała chorągiew. Ściągnięta z wózka „Czajka" stanęła z prawej strony chorągwi, wystawiając białą bakinkę pod wiatr. O pięćset metrów od szybowca widniał łączący się z nim cienką nitką linki samochód z powiewającą nad nim czerwoną chorągwią.

Na starcie wszystko gotowe. Siadam do bakinki.

— Zapiąć pasy!

Instruktor bierze w rękę chorągiew sygnałową. Ostatni rzut oka na stery... Czerwona płachta zatacza w powietrzu dwa łuki. Z nad samochodu nadchodzi odzew. Rusza, naciągając lekko amortyzator. Szybowiec stoi jeszcze wmiejscu, ale widać, że linka napięła się i uniosła.

...Lekkie szarpnięcie, „Czajka" sunie po ziemi, odrywa się po kilku metrach rozbiegu. Jeszcze pożegnalne uderzenie ogonem po wierzchołkach traw i — jesteśmy w powietrzu.

Staram się osiągnąć maksymalne wznoszenie i pociągam ster na siebie. Kabinka unosi się i zakrywa samochód z sterczącą nad nim czerwoną chorągwią. Żeby nie stracić orientacji wychylam się na burtę. Na lewo, w dalekiej perspektywie — miasto. Bliżej hangar ze stojącą przd nim już na obrotach „ósemką". Nawprost samochód, dojeżdżający już do drugiej z chorągiewek wytyczających trasę holowania. Zostaje jeszcze trzecia. Jest już chyba ze 120 metrów wysokości.

Pociągam ster. Odrazu odczuwam, że przeciągnięta „Czajka" przepadła lekko. Zluźniona linka napręża się znowu z charakterystycznym szarpnięciem. Teraz trzeba uważać, bo lada chwila samochód stanie i trzeba będzie odczepić. W dole zielony „erwudziak" kołuje spod hangaru na start. Wóz minął ostatnią chorągiewkę. Czerwona płachta opadła. Energicznie oddaję drążek. Szybowiec przechodzi do lotu ślizgowego, nabiera szybkości, czuję pęd powietrza na twarzy. Odczepiam linkę. „Czajka" pozbawiona ciężaru ostro podskakuje w górę. Szybka reakcja drążkiem i wyrównanie.

...O jaki kilometr ode mnie widać silnie rozwinięty, wypiętrzony cumulus. Gdyby tam się dostać! Nie czas teraz na rozmyślania, trzeba sobie przypomnieć skręty, mocno przez zimę zardzewiałe w pamięci. Pierwszy wiraż płaski, bez lotki, samą nogą. Lewą nogą naciskam pedał. Szybowiec zamiast wejść gładko w krzywiznę, wyskakuje w bok, w ostry trawers. Za duża szybkość przy wirażu. Trzeba wyrównać i robić na nowo, wolniej. Podciągam i powtarzam skręt. Poszło. Teraz spróbujemy zrobić ósemkę. Staram się wykonać możliwie dokładnie nalot na białe koło, wyznaczające środek lotniska. Minąwszy koło, zawracam szerokim łukiem w lewo i lecę nad nie spowrotem. Niedokładnie — skręt był za blisko i szybowiec przeleciał o kilka stopni w bok. Po wyminięciu koła z prawej strony, kładę „Czajkę" w łuk w prawo. Celuję teraz starannie w biały krążek. Wyprowadzam z wirażu w chwili, gdy przód kabinki pokrył się z kołem. Udało się. Skręt skończył się akurat nad celem.

...Daleka przed dwoma minutami ziemia zbliżyła się znacznie. Rozróżniam już wyraźnie figurki ludzi na starcie. Z lewej strony chorągwi stoi gotowy do startu „erwudziak". Wysokości jest jeszcze 60—80 metrów. Czas pomyśleć o lądowaniu. Robię zwrot w lewo o 180° i przelatuję z wiatrem nad startem. „Ósemka" przy chorągwi czeka, abym jej zrobił miejsce w powietrzu. Teraz trzeba zawrócić i lądować pod wiatr. Kładę szybowiec w wiraż. Ten rozpędzony filowaniem z wiatrem w ogon niechętnie wychodzi z prostego lotu i trzeba go dobrze przytrzymywać lotką, żeby nie wyskoczył ze skrętu.

Odwracam się nosem do wiatru. Start jest tuż... tuż... Ślizg, bo przesmaruję! Szybko krzyżuję stery: lewa noga, prawa lotka. Podciągnąć, bo się rozpędzi! Teraz wyprowadzić. Trochę za nerwowo cofam lewą nogę, przytrzymując jeszcze lotkę. Energiczne kopnięcie prawego pedału, wyrównanie lotką i — szybowiec



MARIAN PRZEŻDZIK (Kielce)

MOJA MŁODOŚĆ

*Mnie wieczór pieśnią matki oczu nie zamykał —
Sny same przychodziły wielkie i burzliwe.
W kołyskę pola wiały, grał wiatr na osikach
i pianą gwiazd obrzucał stargane chmur grzywy.*

*Szumiała moja młodość po snach i marzeniach.
Pod dłońmi zmierzchu rosła szalona tęsknota,
Gdy z krain zórz czerwonych przychodziły cienie
i szloch budzony wiatrem wieszał się po płotach.*

*Bóg ciszą w dom przychodził po szeptach matczynych
i łzy dymiące zbierał jak srebrne dukaty,
gdy gniewny wracał ojciec i życie przeklinał —
w ciemnościach tańczył szatan i śmiał się przed chatą.*

JAN MARSZAŁEK (Łowicz)

PIOSENKA Z OBCEGO MIASTA

*Patrzę oknem — w rozśpiewanych blaskach,
siwe słońce gorzkim światłem lśni.
Nad doliną cynobrowe miasto,
w chmurach liści zaplątane — śni.*

*Niebem białe obłoków ogrody,
zachód rudym podpala pożarem.
Płomienieje w liściach cierpka gorycz.
Dzień w kolorach dopala się żalu.*

*W modlitw rzewny, aniołpański wieczór,
Szumi w sadach biblijny niepokój.
Drzewa chwieją się po szumach przeczuć —
krwawy — księżyc wschodzi zza obłoków.*

*Zagubiony w tym mieście podróżny,
w wiatru głuchej zamieram nostalgii.
Próżno modlitw światłem płonę pożarnym —
w rdzawych echach mrą me śpiewne skargi.*

*Wśród żałobnych martwej nocy cieni,
w mroźnym świetle migotliwych gwiazd —
gasnę w smutny, rozszumiały czas,
świata obcym przebity milczeniem.*

CZESŁAW DOMARADZKI (Tomaszów)

PRZEDOSTATNI ETAP

*Leży noc
szara noc
nie ma świateł, nie ma głosów
głucha noc
nie ma wiatru deszczu gwiazd
zwykła noc
Tylko patrol ulicami, zaułkami przecznicami
bocznicami chodzi w noc
nie ma ludzi — wszyscy śpią
nikt nikogo nie obudzi
nie ma świateł, nie ma ludzi w taką noc
pies nie szczeka
nie ma diabła ni człowieka
tylko noc noc noc
cisza pustka
pustka cisza
pustka ciszą chlusta w usta
— chodzi patrol
raz dwa trzy cztery
chodzi patrol
ulicami przecznicami zaułkami bocznicami
szuka cieni
szuka ludzi
nikt nikogo nie obudzi
w taką noc noc noc*

— — — — — — — — — — — — — — — —

*Czekamy w czterech ścianach na wicher za oknem
nieczuli
czekamy w czterech ścianach — segregujemy kule
ten tysiąc dla Halperna, tamten dla Piescha, Szepsa
jak spać się chce cholernie, jak ciężko zaszywać
bibułę w podszewce
trudno układać setkami setkami ROBOTNIKA
ŁODZIANINA i GŁOS
i zawsze czekać na nagłe pukanie lub na żandarmskie
kto idiot
Dlaczego tak skrzypią schody, dlaczego nikt nie
otwiera drzwi
Jak ciężko repetować brauning, jak trudno krzyknąć:
BIJ!
a potem strzał
i skrwawione szynele w drzwiach
za oknem droga do wolności: PIACH.*

---

ostro schodzi do ziemi. Zbierać, zbierać! Ściągam ster, załamuję kąt planowania. Ogon opada. Z lewej strony zbliża się chorągiew, samolot i ludzie. Pierwsze uderzenie i skok w górę. To jakaś bruzda. Jeszcze kilka metrów lotu, nowy wstrząs i — koniec. Siedzimy tuż za literą, z prawej strony. Kilkanaście metrów ode mnie startuje z rykiem silnika zielony samolot. „Uciekł" w lewo, w prawo, wreszcie go pilot opanował. Oderwał się od ziemi i ciężko pnie się na wysokość.

Odpinam pasy i wyłażę z kabiny. Za parę godzin polecę znowu.

Nowela „W. Młodych Oczach"

SERCA NA MECIE

Stary Grotowski nie był konserwatystą. O, nie— czytywał przecież Kurier Poranny i Robotnika, w niedzielę przynosił do domu Gońca i Głos — a w towarzystwie przyjaciół, gdy rozmowa zeszła na tory polityki, zawsze podnosił, że „postęp, panie tego i... w ogóle". Odzywał się zawsze z szacunkiem o opozycji, zwłaszcza zagranicznej, uwielbiał Mac Donalda i martwił się upadkiem Bluma, a o rządach silnej ręki mawiał: — To jest fikcja, panie tego, to nawet do wiosny, panie tego, — nie pociągnie. Do kina, owszem, chodził, zwłaszcza na filmy wojenne (na — Bitwie pod Verdun — był aż trzy razy), dziennika wieczornego przez radio wysłuchiwał pilnie, choć uważał, że nie zastąpi mu gazety, bo „polityka panie tego, nie telegram, to trzeba najpierw zobaczyć, a potem, panie tego, przemyśleć". Jak więc z powyższego widzimy pan Grotowski szedł z duchem czasu; ba, nawet raz w życiu leciał samolotem, do brata, który uległ wypadkowi samochodowemu pod Lwowem i przez trzy miesiące borykał się ze śmiercią. Mimo tego pan Grotowski obiecywał kupić sobie auto, „gdy tylko w Polsce, panie tego, ten ludowy wózek wyprodukują".

Ale na jedno współczesne zjawisko, patrzył pan Grotowski zukosa, gorzej nawet, odnosił się do niego zdecydowanie wrogo. Pan Grotowski biologicznie nie cierpiał sportu: gdy radio nadawało wiadomości sportowe lub jakiś reportaż z zawodów, zdecydowanym ruchem, nie pytając żony i dzieci o zdanie, wyłączał głośnik.

Z tego też powodu najwięcej mial zmartwienia z synem, Jankiem, który był zapalonym lekkoatletą i znikał z domu na całe popołudnie, mimo perswazyj ojca i ciągłych napomnień. Janek uczył się nieźle, choć lekcje odrabiał albo późnym wieczorem albo rano w szkole. W oczach ojca jednak dawał z siebie za mało: pan Grotowski uważał, że Janek winien mieć same „piony" na świadectwie, a przyczyny dostatecznych doszukiwal się w wiecznych treningach Janka. Nie pozwalał mu też na uczęszczanie do klubu (mimo, że Janek nie napotkał sprzeciwu ze strony dyrektora szkoły) i w niedzielę i święta, gdy przeczuwał jakieś zawody czy mecz, starał się wszelkimi sposobami zatrzymać syna w domu. Ale od czego szesnastoletni kandydat na olimpijczyka ma głowę na karku: Janek cały zasób zdobytej w młodych latach z lektury Londona, Zane Greya i Conan Doyle'a wiedzy poświęcał na zmylenie czujnej opieki ojca i najczęściej w czasie jego poobiedniej drzemki wymykał się na boisko.

Tak było i dzisiaj. Wyczekal cicho i spokojnie, aż ojcu głowa opadnie na piersi a Kurier zsunie się na podłogę, podniósł się cicho na palcach i ruszył w stronę przedpokoju. Kilkoma szybkimi ruchami wydobył z szafy komplet treningowy, meszty i kostium, narzucił płaszcz i już ujął dłonią klamkę, gdy przypomniało mu się, że ma w kieszeni dwa bilety na zawody. Matka z siostrą wyszly już na popołudniowy spacer, ...z Lilką się wczoraj pogniewał na amen. (Może dziś przyjdzie na mecz — pomyślal — nie wie więc, co zrobić z biletami. Olśniła go myśl: wrócił do pokoju i na palcach podszedłszy do stołu złożył oba bilety obok futerału ojcowskich binokli. Po pięć schodów naraz sadził wdół (klucz od windy został w codziennym mundurze) aż znalazł się na ulicy. Gościnna, czerwona dwójka—zabrała go w stronę Czerniakowskiej.

* * *

Pan Grotowski sam na siebie zżymal się srodze, jadąc tramwajem w stronę stadionu Wojska Polskiego na, jak wyczytał z zostawionego przez Jurka biletu, zawody finałowe akcji „SZUKAMY OLIMPIJCZYKÓW". Przed bramami stadionu zastał tłumy ludzi: zdziwiło go to niezmiernie, że aż tyle osób dało się opętać tą niemądrą manią. Zastanawial się czy nie zawrócić z połowy drogi, gdyż podobnie jak Zagłoba tłoku nie znosił, ale chęć wykorzystania pozostawionych przez syna biletów zwyciężyła. Wkroczył więc z miną obrażonego lorda na boisko, rozejrzał się uważnie po zapelnionych po brzegi trybunach i wolno kierując się w stronę swego miejsca, według informacyj uprzejmego biletera, obliczał, ile też ludzi może być na stadionie. Wychodziły z tego rachunku grube tysiące, ale pan Teofil (panu Grotowskiemu było na imie Teofil) pocieszał się tym, że przecież Warszawa liczy przeszło milion mieszkańców więc tylko znikomy procent na tym stadionie się zmieści.

Ulżyło mu.

Pogrążony w rozmyślaniach ledwo zauważyl znajomego pułkownika, który mu się ukłonił. Potem ze zdziwieniem przypatrywał się swemu szefowi, pilnie przez lornetkę wypatrującemu co się dzieje na boisku. To przypomniało panu Grotowskiemu, poco tu właściwie przyszedł. Poszukując w kieszeni płaszcza zapałek trafił na lornetkę, którą zapomnial wyjąć po wczorajszym powrocie z teatru. Zajął więc miejsce na skraju trybuny i z braku innego zajęcia... oddawał się obserwacji stadionu: a nuż gdzie zobaczy tego wariata, Janka. Słyszał coprawda, że Janek biega, a tam tymczasem rzucali jakimś okrągłym talerzem.

— To chyba dysk — pomyślał, przypomniawszy sobie z gimnazjalnego podręcznika historii starożytnej rzeźbę Mirona.

Siedzący obok niego rudawy młodzieniec w nienagannie skrojonym sportowym raglanie, zachwycony jakimś rzutem, w którym pan Teofil nic nadzwyczajnego nie zauważył, wołał razem z innymi: —

— Brawo, Panek, brawo, brawo...

a potem obróciwszy się nagle do Grotowskiego powiedział:

— Byczo chłopak rzuca, nie?... — Moja szkoła — dodał z dumą.

Pan Teofil był tym niezmiernie zaskoczony: z całą pewnością mógł stwierdzić, że rudego młodzieńca ogląda po raz pierwszy w życiu, a o jakimś Pan-

ku pierwszy raz słyszy. Po drugie, żeby młody człowiek wyglądający conajmniej na atâche prasowego ambasady brytyjskiej, używał słowa: byczy — to nie mogło się pomieścić w głowie starego Grotowskiego. Spojrzał raz i drugi spode łba w stronę rudego młodzieńca,... ale ten już na niego nie patrzył. Minęło jeszcze kilka konkurencyj. Pan Teofil z przyjemnością skonstatował, iż zaczyna się rozumieć na sporcie: wiedział, że rzut kulą wygrał wysoki dryblas, który rzucił najdalej, że skok wzwyż to znowu nie taka sztuka: grunt tylko nie strącić poprzeczki. Ale megafony obwieściły wreszcie bieg na 400 metrów. Wtedy rudy sąsiad znów zwrócił się do pana Grotowskiego.

— Teraz dopiero zobaczy pan rewelację. Na czterysta leci mój najlepszy chłopak... Grotowski — dorzucił tajemniczo takim tonem, jakby ten Grotowski był conajmniej maharadżą Rampuru, startującym incognito.

— Ten wariat? pospiesznie spytał pan Teofil, mimo, iż rudego młodzieńca wcale nie znał i że na dźwięk własnego nazwiska serce w nim żywiej zabiło.

— Jakto wariat?

— No... nie... — sumitował się stary — tylko... to jest... mój syn.

— Acha — zdążył tylko odpowiedzieć sąsiad. Na składanie gratulacji panu Grotowskiemu i na przedstawienie się nie znalazł już czasu — właśnie padł strzał i zawodnicy ruszyli ze startu.

Pan Teofil nie mógł się zrazu rozeznać, który to z nich Janek. Ale gdy wyszli na prostą przed trybunami poznał go po rozczochranej czuprynie: szedł na trzecim miejscu, lekko wyrzucając wprzód nogi jak rasowy koń i błyskając zębami. Doszli do wirażu.

— Patrz pan, już go mija zawołał rudy i celem zwrócenia uwagi, uderzył pana Grotowskiego ręką w kolano. Ten wcale nie poczuł i nie zauważył uderzenia: istniał dla niego tylko jeden problem: czy Janek przyjdzie pierwszy. Niestety, na następnym wirażu nie udało mu się wyprzedzić prowadzącego bieg. Jeszcze jeden wiraż: — i tym razem szturm Janka zostaje odparty. Wtedy pan Teofil wstaje ze swego miejsca i jak ranny tur ryczy:

— Janek! Janek! Janek...

* * *

Historia milczy o tym czy słynny olimpijczyk Jan Grotowski, mistrz świata w biegu na 400 i 800 metrów, usłyszał wtedy zgodny dwugłos swego rodzica i profesora gimnastyki, którym się okazał rudy sąsiad pana Teofila. Jest jednak faktem niezbitym, że zajął wtedy pierwsze miejsce, że otrzymał przy wyjściu z boiska kwiaty od Lili... i że wieczorem w ciszy i skupieniu wysłuchał wiadomości sportowych, ...wraz z ojcem.

JESTEŚMY NARODEM DUMNYM I UZBROJONYM

Dziwna metoda zapanowała od pewnego czasu w Europie. Są takie niesłychanie uczynne państwa, które z wzruszającą wprost troskliwością opiekują się krajami mniejszymi, słabszymi, a wyposażonymi w niektóre ważne surowce (nafta etc.), i na pierwszą wiadomość o jakichkolwiek „trudnościach" wewnętrznych czy zewnętrznych, śpieszą im ochotnie z pomocą, aby uwolnić ludność z pod gniotącego ją jarzma narodowego rządu i zyskać sławę „obrońców uciśnionych ludów". No, i te surowce...

Że narody te z prawdziwą i niekłamaną radością przyjmują spływające na nie dobrodziejstwa, niech świadczy następująca rezolucja rządu albańskiego, którą podaje jedno z pism stołecznych. Oto fragmenty:

> *„Wielki Duce, przyjaciel naszego ludu i wszystkich ludów, które cierpią, przysyła na pomoc nam dzielnych żołnierzy armii faszystowskiej".*

I dalej:

> *„Duce ukochany! Uczyniłeś dla nas tyle poświęceń. Ocaliłeś nas od licznych niebezpieczeństw i dlatego zwracamy się do Ciebie...".* itd.

Nie, to nie jest kawał. Taką depeszę ów rząd *rzeczywiście* wysłał. Ha! a więc ów lud był *rzeczywiście* ludem uciśnionym i dopiero „Ukochany" i jego żołnierze musieli dokonać wyzwolenia. Nie tylko zresztą ten naród doznał upragnionej wolności. Było inne państwo, któremu z pomocą pośpieszył inny wódz, z pomocą wdzięcznie przez uciśnionych przyjętą.

Tylko Polacy są takim niegrzecznym, hardym narodem, który *nie może zrozumieć* dobrodziejstw płynących z wspaniałomyślnej opieki. Nie jesteśmy ludem cierpiącym i potrzebującym opieki i poświęceń. Jesteśmy zuchwali i uzbrojeni i nie boimy się pobrzękiwań szabelką z zachodu, bo jesteśmy gotowi i staniemy murem, gdy będzie potrzeba. Niech się nikt za nas nie poświęca, bo za siebie zrobimy to sami.

W epoce gdy pakty i traktaty są — według słów jednego z obrońców uciśnionych — świstkiem papieru, potęgę państwa mierzy się ilością bagnetów i rytmem młodych serc. Gdy rytm ten jest jednolity i zdecydowany — nie ma takiego dobroczyńcy, któryby nam łaskę zdołał wyświadczyć, innymi słowy nie ma takiej przewagi, przed którą się cofniemy i która nas zdoła zgnieść. Indywidualiści z natury— w godzinie próby stoimy ramię w ramię w szeregu z bronią u nogi.

Dumni i uzbrojeni, nie obawiający się żadnych gróźb, nie żądający pomocy ni poświęceń.

Tadeusz Stasinowski

Wacław Kosicki

NA WOJENNYM SZLAKU

FRONT, FABRYKA I WIEŚ.

Kiedy będzie wojna? **Wojna już się toczy,** już są zwycięscy i pokonani. My do tych ostatnich nie należymy. Lecz aby zaliczyć się do pierwszej grupy, wiele jeszcze wysiłku z naszej strony potrzeba. Na razie wygraliśmy **moralnie.** Być może nawet, że sprawiliśmy komuś przykrą niespodziankę. Ale to była dopiero pierwsza runda. Teraz pracują trenerzy.

Nasza **pierwsza linia** nie sprawi nam z pewnością zawodu — ale ona sama wojny wygrać nie może. Żołnierz na froncie to precyzyjny instrument, wymagający bardzo troskliwej opieki. Trzeba go nakarmić, odziać, dać mu stale nową broń do ręki, zaopatrywać w amunicję i wszelkiego rodzaju sprzęt techniczny. Są rodzaje broni, których żywot bojowy jest tak krótki w porównaniu z ilością pracy, jakiej wymaga ich wyprodukowanie, że przeciętnemu cywilowi na wiadomość o tym oczy z głowy wylazą.

Armia walcząca wymaga **trzykroć liczniejszej armii pracy.** Jedni ukryci w rowach strzeleckich, czy betonowych pancerzach schronów — ulewą ognia i żelaza bronią dostępu wrogowi do wnętrza kraju — drudzy wśród zgrzytu obrabiarek tworzą z martwych kawałków stali śmiercionośne potwory, bacznym okiem kontrolując pracę automatów wyrabiających setki tysięcy niezawodnych pocisków. Prócz tych dwóch istnieje **armia trzecia,** pracująca na dłuższą falę — to **wieś i folwark.** Jest jedna niesłychanie pewna — najpewniejsza chyba ze wszystkich prawda — **człowiek musi jeść.** Wzniosła idea — doskonałe uzbrojenie, wielki hart ducha łamie nieraz głód. Syty żołnierz może zawołać: zwyciężę lub zginę, głodny i wynędzniały nieraz nawet umrzeć nie ma siły. Minimum życiowe może być nawet bardzo niskie, lecz nie może przekroczyć pewnej określonej normy wyżywienie frontu i fabryki. To — zadanie wsi.

Niezbyt dawno ukazało się rozporządzenie o samopomocy rolnej. W razie wojny ani piędź ziemi nie może leżeć odłogiem. Zboże, kartofle są tak samo ważnym **elementem zwycięstwa** jak żelazo i węgiel. **Front, fabryka i wieś,** oto trzy czynniki, które decydują dziś o zwycięstwie.

W OBOZIE WAROWNYM.

Każde zawody wymagają treningu — wymagają go i wielkie boje narodów. Prócz postawy moralnej i siły fizycznej wielki głos ma tutaj **wytrzymałość.** Po pierwszych niesłychanie gwałtownych atakach i równie wytężonej obronie przyjść muszą długie tygodnie i miesiące zaciekłych, nieustępliwych bojów, dosłownie o każdą piędź ziemi. Będzie to wielka próba moralna wojska i społeczeństwa. W ciągu tych niekończących się alarmów lotniczych, ograniczeń swobody jednostek, wystawania w fantastycznych „wężach" kolejki toczyć się będą dwie walki, jedna na froncie i druga — w tysiącach miast, miasteczek i wsi. Każde załamanie się w trudnym momencie to wygrana naszych wrogów, to **cios w plecy** żołnierza z linii frontu.

Żyć i pracować przyjdzie wtedy w ciężkich warunkach, ciężkich materialnie i moralnie. Pamięć naszej słusznej sprawy, pamięć tych co walczą wśród błot, piasków i lasów, wśród śniegów i mrozów, wiosennych roztopów czy letnich upałów, niech nas umacnia i zwielokrotnia nasze siły. Kraj cały stać się musi **jednym warownym obozem** podległym jednej komendzie, ożywionym jednym duchem.

Jeśli o nas młodych chodzi, to część ma już bardzo konkretne i **jasne zadanie** przed sobą. Reszta wszystkie swe siły wytężyć powinna, aby wiedza, którą nabywają, umożliwiła im zajęcie **godnych miejsc w pomocniczej armii pracy.**

POGOTOWIE PRZEMYSŁU.

W nowocześnie zorganizowanym państwie każdy ma wyznaczone obowiązki na wypadek niebezpieczeństwa i nie byłoby dobrze, gdyby entuzjazm zwyciężył karność. Pamiętajmy, że technik w fabryce, czy inżynier w kopalni pełnią pracę równie ważną jak pilnujący granic naszych żołnierze — zaś na wypadek wojny — kto wie, komu może zagrażać większe niebezpieczeństwo. Jeśli zapoznamy się z historią wielkiej wojny, łatwo zauważymy, jak szybki był wzrost znaczenia nowych środków walki, jak zwiększała się ich liczebność i jak znacznym udoskonaleniom one ulegały. Stąd też wynika konieczność ostrożności w inwestowaniu zbyt wielkich kapitałów w czołgi, samochody, samoloty — dziś stanowić one mogą ostatnie słowo techniki — za rok wartość ich spada do połowy, za dwa lata nadają się do muzeum. Realizację zbrojeń prowadzą obecnie wszystkie państwa, największy nacisk kładąc na **przygotowanie** swych fabryk do seryjnego wyrobu nowych ulepszonych doświadczeniami wojny typów.

Nie należymy do państw bogatych, tym przezorniej musimy dbać o właściwą lokatę kapitałów; tym rozważniej oceniać konieczną ilość gotowego sprzętu; tym bardziej stanowczą okazać postawę i bardziej rzutką decyzję, by w chwili rozstrzygającej nie tylko **nic nie stracić, ale jeszcze zyskać.**

JAK WALCZYĆ, TO — NA CUDZYM.

Złym byłby gospodarzem ten, co jak owi ludzie z przypowieści Mickiewicza czekałby, aż pożar dotrze do jego domu. Czasem należy ogniowi **wybiec naprzeciw** i stłumić go w ciężkiej dla niego chwili, aby nie stanąć później bezradnym wobec rozszalałego żywiołu.

Wielka wojna wyniszczyła okrutnie nasze ziemie. Obce wojska toczyły na nich niezliczone boje. Urządzenia naszych fabryk, nasza miedź, mosiądz, co cenniejsze maszyny zostały nam zrabowane. W niezmiernym trudzie dźwignęliśmy nasz przemysł, odbudowali zniszczone wsie i miasta, usprawnili koleje, postawili las kominów fabrycznych, port — gigant błotom nadmorskim wydarliśmy i okazało się jakoś, że gospodarka nasza **wcale nie jest gorsza** od „zachodnio-europejskiej". Dobra sztuka — ale na raz, jak mawiali nasi dziadowie. Dziś my **wolelibyśmy walczyć na cudzej ziemi** niż pozwolić miłym przyjaciołom łupić nasze wsie i miasta. I nie należałoby tego traktować jako żadną agresję. My też kochamy pokój i chcielibyśmy go sobie **jak najskuteczniej zapewnić.**

Dlatego należy być przygotowanym i na to, by z **obozu warownego,** urządzić — gdy wypadnie — jedną i drugą **wycieczkę,** wyłom wśród wrogów, na ich ziemi uczynić i **nowe szańce obronne** dla Rzeczypospolitej zdobyć. Albowiem nie należy zapominać, że najlepszą obroną jest niekiedy — atak.

W obozie warownym panować więc musi nie żaden **duch oblężenia,** lecz stan gotowości, zdolny każdej chwili do agresji. Stan **takiej gotowości,** by starczył jeden krótki rozkaz na puszczenie w sprawny ruch **wielkiej machiny wojennej,** machiny, która potrafi **atakować, bronić, wytwarzać i żywić.**

Zdzisław Wilhelmi *Łomża Lic. II.*

ZBARAŻCZYK

OPOWIADANIE



Pułkownik Bolesław Mościcki, dowódca 1 pułku ułanów padł z ręki bolszewików 18.II.1918, pod leśniczówką Dub ziemi mińskiej.

— Rotmistrzu — dosyć już. Zdaje mi się, że powiedziałem zupełnie wyraźnie: idę!

— Panie pułkowniku! Proszę mi chociaż pozwolić odprowadzić pana ze szwadronem poza front. Sam nie przedrze się pan...

— Ani ze szwadronem, ani nawet z plutonem. Powiedziałem. Za droga krew ułańska, by ją dla mej własnej obrony przelewać — na co innego ona potrzebna.

Mościcki odwrócił się gwałtownie, jakby chcąc dać do zrozumienia, że rozmowę uważa za skończoną.

Rotmistrz Podhorski znakomicie znał swego dowódcę, to też wiedział, że gdy pułkownik rzekł: „Idę sam", to pójdzie sam, czyli po prostu — popełni szaleństwo. No, bo do kroćset, czyż nie jest szaleństwem pchać się czerwonym prosto w łapy. Przedzierać się samotnie pośród rozbestwionych band i to w czasie, gdy bolszewicy na głowę pułkownika nałożyli cenę? „Stary" chce zrobić głupstwo... — Tu idzie o honor naszego pułku — mówił i nie mogę powierzać tej sprawy nikomu. Muszę sam przedrzeć się do Rady Regencyjnej.

Podhorski zastanawiał się, jakby postąpił będąc na miejscu pułkownika. Mościcki ciągnął wraz z innymi losy. Nie na niego padł — więc czemu sam zgłosił się na ochotnika? Przecież to — samobójstwo.

Lecz w oczach dowódcy paliły się już ogniki. Te same ogniki, które Podhorski już raz widział. Było to po bitwie krechowieckiej. Wspaniałe przyjęcie... fraki, lśniące gorsy, szlify generalskie... obce mundury. Mościckiemu gratulowano zwycięstwa. Jego nazwisko było na ustach wszystkich. Ale brwi pułkownika były gniewnie ściągnięte.

W pewnej chwili — Podhorski widział to z drugiego końca stołu — w oczach Mościckiego zabłysły płomienie. Pułkownik zerwał się, szarpnął z piersi ordery, krzyże i cisnął na stół. Brzękło stłuczone szkło. „Nie dla waszych orderów, nie dla waszych idei — za Polskę!" Pamiętał szalony łomot serca, które rozpierało dumą piersi jego i napewno wszystkich obecnych przy tym Polaków.

W zadymionej izbie białoruskiej, rozedrganej błyskami palonego w kominie ognia — zaległa cisza. Pułkownik stał przy oknie i dotykał czołem szyby. Po długiej chwili odwrócił się.

— Rotmistrzu, zawezwie pan kadrę oficerską na odprawę i rozkaże pan dostarczyć mi natychmiast bolszewickiego munduru.

Po czym, gdy Podhorski wybiegł, z uśmiechem na ustach przechadzał się po skrzypiącej podłodze, dopóki nie poczęli się schodzić małymi grupkami, milczący i posępni oficerowie — na odprawę.

Na ostatnią odprawę z pułkownikiem Bolesławem Mościckim.

* * *

Któżby pomyślał, że piechur bolszewicki z energią przedzierający się przez zasypane śniegiem zagajniki i zaspy jechał nie dalej, jak wczoraj, na czele pułku ułanów.

Pułkownik szedł i gwizdał ulubioną piosenkę. Dawno nie było mu tak lekko w sercu. Pił mroźne powietrze, mrużył oczy, w które bił blask śnieżnej płaszczyzny. Minęło już wiele godzin od chwili, gdy wymknął się z pułku, w tajemnicy przed nim całym z wyjątkiem kilku oficerów.

Zaczynał się zachód. Pułkownik zamyślił się. Utonęła gdzieś wśród gęstniejących mroków sztubacka, przekorna wesołość. Ruska mgła zadumy przyćmiła mu oczy.

...Tak samo zachodziło słońce wtedy... pod Krechowcami... O wspaniałe Krechowce! O niezapomniana melodio bitwy, huku dział, szturmu błysków szabel ułańskich w świetle zachodu!... Krechowce!

Piechur przyspieszył kroku, uśmiechnięty do swych wspomnień. Po długim dniu przedzierania się przez leśne bezdroża i ukrywania się w dębowych wykrotach przed okiem patroli bolszewickich, dobrnął zmęczony do wielkiej polany, na której zagrzebana w śniegu stać miała samotna leśniczówka, jak odczytał z mapy pułkownik. Istotnie przed oczyma zamajaczyła w mroku czarna płaszczyzna domu.

Pułkownik zatrzymał się. Tknęło go jakieś niejasne, mętne uczucie. Uczuł nagły srach przed tą chatą, która stanęła mu na drodze. Zapragnął ją ominąć i iść, brnąć dalej, na zachód do Warszawy, w ucieczce przed nocą i noclegiem na tej polanie. Ale nie poszedł; był zmęczony. Stał oparty o drzewo i zdawało mu się, że gdzieś z dala dobiegają go wyraźne, choć jakby stłumione echa śpiewu: „Ułani, ułani, malowane dzieci..." Pułkownik zaklął z cicha. Lubił tę piosenkę. Nieraz mówił do kolegów: Pamiętajcie, chłopcy, grać mi na pogrzebie same skoczne melodie. A nie zapomnijcie o „Ułanach". Ale teraz „halucynacje" takie uważał za niewłaściwe.

Pchnął drzwi i wszedł. — Zdrastwujcie! —

Gospodarz, leśnik czytał gazetę, żona piekła bliny. Piechur został gościnnie przyjęty. Kiedy jednak siedział przy wieczerzy i bawił młodą gospodynię rozmową, uczuł na sobie badawczy, świdrujący wzrok gospodarza. Spojrzenie, którym dyskretnie zbadał twarz leśnika, uspokoiło go jednak zupełnie: człowieka tego widział z pewnością po raz pierwszy, więc skądżeby...

Legł wkrótce w mrocznej i ciasnej alkowie i zaraz zmogło go zmęczenie. Zasnął i nie słyszał, jak rozwarły się cicho drzwi i leśnik z lampą w ręku długo badał jego twarz, a rozłożywszy gazetę porównywał ją z twarzą na fotografii, pod którą wielkimi literami widniało:

1000 rubli nagrody...

...Zbudziło go gwałtowne szarpanie. Zerwał się z posłania i pierwszym ruchem wyszarpał z pochwy rewolwer.

— Kto tu?! —

Przy łóżku majaczyła postać leśnika.

— Panie pułkowniku!

Chwycił leśnika za ramiona, zatrząsnął nim i zasyczał:

— Skąd wiesz? Skąd wiesz? Gadaj!

Panie pułkowniku; zdradziłem... na Boga... uciekaj... Bolszewicy idą! —

Nie było chwili do stracenia. Pułkownik runął do drzwi. Dwoma skokami przesadził ciemną izbę i wypadł na dwór. Uderzył go w twarz zimny mur powietrza.

...Idą! Instynktem rozróżniał już twarze, słyszał skradające się kroki...

Działać! Z wydobytym rewolwerem pędził przez świeże porębowisko, ku zbawczej, czarnej ścianie lasu. Nie dobiegł, z lasu błysnął pióropusz ognia i dobiegł huk strzałów. Był osaczony... Ze wszystkich stron trzaskały teraz karabiny i widać było w mroku sunące ku niemu postacie.

Mościcki doskoczył do stojącego niedaleko samotnego dębu i przywarł. W głowie mu huczało, że nie zdoła przebić się już przez ten łańcuch zacieśniający się coraz bardziej, że nie dostanie się do Warszawy, że nie wykona...

Opanował się wysiłkiem woli. Ze spokojnym już wzrokiem, z rewolwerem opuszczonym w dół, czekał, aż podejdą bliżej.

Czemu nie strzelają? Dlaczego jest cicho i kule nie łupią już kory nad jego głową?

Siedem kul w magazynie: Sześć—dla nich, ostatnia dla siebie.

Ciemne postacie zbliżają się, zdają się olbrzymieć w mroku Wolno podnosi rewolwer. Każdy strzał musi być celny. Musi tu lec ich sześciu. Czarna muszka rewolweru napotyka na płaską, woskową twarz. Między skośnymi oczyma zatrzymuje się. Drga lekko. Mościcki naciska palec.

Pada strzał, lecz nie z jego rewolweru, bo oto on sam się chwieje, blednie, chwyta pień drzewa oburącz... Na jego niedopiętej bluzie wykwita ciemna róża, czerwona róża, rośnie szybko, czerwieni się na zieleni munduru...

Mgła przysłania oczy, usta schną gwałtownie, powietrze rzednie, nie sposób do syta go wchłonąć.

Śmierć?... Mościcki czuje, że przenika go bezwład. Więc taki koniec? Taka jest jego śmierć, której uniknął w tylu bitwach, gdzie najgęściej jego ułani z koni się chylili? Jego śmierć, z dala od pułku, nocą i bez bitwy, samotna.

Zwrócił głowę w stronę, gdzie utonęło słońce. Jego ostatnie słońńce. Gasnącymi oczyma spoglądał Mościcki na zachód, gdzie o setki kilometrów oddalona, spała o tej porze Warszawa.

Lecz cóż to? Las... sine mgły... mroczne, od krawędzi światłością oblane niebo. Rozumie nagle pułkownik. Zmęczony mózg i mdlejące serce porażone jest nagle myślą, od której to co widzi i czuje, nabiera oszałamiającego, wyrazistego sensu. P O L S K A!

I dziwi się, że nie zrozumiał odrazu i nagle chciałby rzec coś, coś mówić z radością i dużo i o coś się pytać, ale wargi ma ciężkie i czuje — czy to nie wstyd — czuje, jak mu się lenistwo rozchodzi po ciele... Zerwać się! Baczność! Wyprężyć się, salutować!... To jego chłopcy, pułk, wszyscy... Sztandar! Pułkownik leży na środku polany, w śniegu, z rozbrajającym uśmiechem, jakby prosił o wybaczenie.

Z pod ramion rozszerza się białoczerwony sztandar śniegu i krwi.

Od Redakcji: Autor niniejszego opowiadania, które po przystosowaniu redakcyjnym zamieściliśmy, jest siostrzeńcem ś. p. pułk. Mościckiego. Opowiadania swoje oparł kol. Wilhelmi na wiadomościach zebranych przez rodzinę.

Z książek.

Juliusz Kaden-Bandrowski

„WSPOMNIENIA I NADZIEJE"

Gebethner i Wolff, stron 144.

Wspomnienia — z „dni gromu i szczęścia", dni, w których po raz pierwszy od wielu lat Polak znalazł w sobie duszę rycerską i „śladami wielkości" Józefa Piłsudskiego poszedł szukać Polski w zawierusze wojny.

Ta atmosfera żarliwości żołnierskiej, kultu dla sławy, oręża a przede wszystkim dla komendanta wznosi tomik Kadena na wyżyny jednej z jego pierwszych książek p.t. „Piłsudczycy" (sześć wydań do 1937 najlepiej zaświadczy o jej poczytności).

Bo też „Wspomnienia i nadzieje" są dalszym ciągiem ideowym i historycznym „Piłsudczyków". Spotykamy w niej ten sam rodzaj ludzki, jak Orlicz, Belina, Strug, Choynowski, Mączka... Im to autor w pośmiertnych wspomnieniach ich przewagi żołnierskie wylicza, wykazuje cnoty i opowiada wojenne dzieje z pod Kostiuchniówki, Łowczówka itd.

Nadzieje — to w nas, młodych, w junackie mundury poprzebieranych, umęczonych ślęczeniem nad książką, dumnych z podchorążackich obszywek. Złączył je autor ze „Wspomnieniami", bo „jak my jesteśmy pokoleniem walk Józefa Piłsudskiego — tak wy jesteście pokoleniem Jego zwycięstw", bo sens i prawda życia polskiego wypływa z szaleństwa 6-go sierpnia — a w blaskach jego narodził się nowy Polak, na którym przyszłość się opiera". „Myślę – pisze – o wszystkich młodych, którzy na wszystkich szczeblach odbudowy wchodzą dziś w życie.

„Niechże staną do tego warsztatu z uporem i taką wolą zwycięstwa, z jaką ongiś my w I Brygadzie wykonywaliśmy zlecone sobie prace. Niech nie patrzą ani nie liczą szczegółowo, jakie narzędzie dostali, lecz co osiągnąć winni. Ojczyzna bowiem to jest nie tylko ziemia od jednych granic po drugie osiągnięta, lecz tworzenie przeciw niemocy własnej i na przekór warunkom niewdzięcznym i w surowym ujarzmieniu samego siebie. To jest dopiero wielka i zwycięska ojczyzna".

Wł. Gutekunst

KOLEŻANKI I KOLEDZY!

TRZY SŁOWA:

PRENUMERATA — PROPAGANDA — WSPÓŁPRACA

KARCZ

Maj na smutno





gadu-gadu

MAJÓWKA 1939

Hej, gdzie te czasy, gdy wszelkie radości, oczekiwania i caloroczne nadzieje całej szkoły sprowadzały się do jednego słowa: m a j ó w k a !

Słowo to magiczne, rzucone tajemniczo z gabinetu dyrektora, stawiało na nogi całą szkołę, budziło najospalszych, elektryzowało gnuśnych! Każdy, kto żyw, zrywał się ze snu zimowego, padał bliźniemu w objęcia, „buda" wyła i szalała, póki nie uciszyło swawoli gromkie słowo władzy, że o ile... itd. to majówka m o ż e być jeszcze... odwołana.

Od tego czasu najstraszliwszą groźbą stosowaną w szkole wobec opornych było: nie pojedziesz na majówkę!

Aż pewnego dnia o świcie zajeżdżały przed szkołę wozy drabiniaste suto moszczone słomą i koczobryk dla władzy. Jaki taki wstążki do czapki przypinał, kwiaty umieszczał w dziurce i drąc się na całe gardło, pakował się na wóz, igry i swawole w słomie z koleżkami czyniąc. Barwny korowód ruszał w las i w pole z koczobrykiem na przedzie, póki młoda rzesza nie wyspała się na wiosenną łąkę, hasając i brykając niczym ośle stado. Ksiądz prefekt za dębczak chwytał, maczugę z niego ostrugał i palanta podbijał, że piłki szły aż w niebiosy. Dyrekcja szła na grzyby, botanik z siatką za motylem gonil, poeci mówili wiersze a reszta zajadała jajka na twardo, popijając źródlaną wodą. Wieczorem zmordowane i zziajane żaki spały na wozie, kołysane do snu brzękiem mandolin i barytonami „ósmaków": Jak szybko płyną chwile...

Pachniało czeremchą, słowiki śpiewały... Hej! Gdzie te czasy...

* * *

Majówka 1939 wygląda inaczej.

— Baa—czność! W...eegu zbiórkaaa! — „Junacy! Jutro bez względu na pogodę ćwiczenia w terenie. Każdy obowiązany jest posiadać ekwipunek

i na wesoło.



etc. Wyjazd o świcie na platformach motorowych etc. Baa—czność!...“

...O świcie leje jak z cebra. W glinę, w błoto, padnij, padnij, bardziej lewa—dół — ognia! Zbiórka! Biegiem! Stóóój! Równać! — woo zwrot! Ruszać się! „Junak Wąsik to nie jest koromesło, to jest karabin! Siadł! Patrzeć w mapy! Wstać! Po menaż biegiem marsz! Spocznij! Rozejść się... Baa-—czność!“.

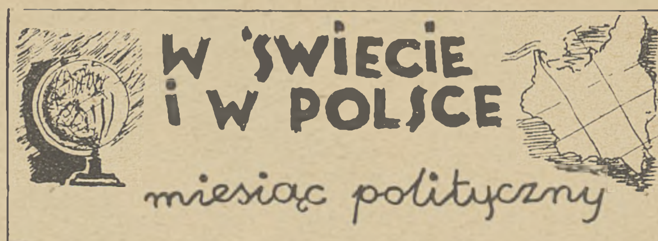
Ufff! Majówka... Słońca nie ma, leje jak z cebra, tam za pagórkiem karabin maszynowy, tu świeca dymna... Ale wiosna... czeremchą skądś pachnie? — Nie, to gaz... — Gaaz! Chloroacetofenon, łzy, kaszel, chrzan... Do chrzanu z tym pochłaniaczem, ligniny! Panie sierżancie, melduję posłusznie...

Wieczorem przy księżycu — odprawa.

Słowiki? Spaaać...

* * *

Tak, tak... Każcie się dziady wypchać drabiniastem wozem, z waszymi jajkami na twardo i siatką na motyle. Spróbójcie waszą siatką złapać tzw. „myszkę“ czyli 11-stokilogramową bombę termito-wo-płomienną. Albo piłką od palanta trafić w „Messerschmidta“! Albo z mandoliną czołgać się po błocie. Junak 1939 jest—inny. Junak 1939 żyje i ćwiczy się po to, aby w 1939 sprawić komuś lanie. A jak sprawi — to lanie, wtedy dopiero pojedzie koczobrykiem na dawną majówkę.



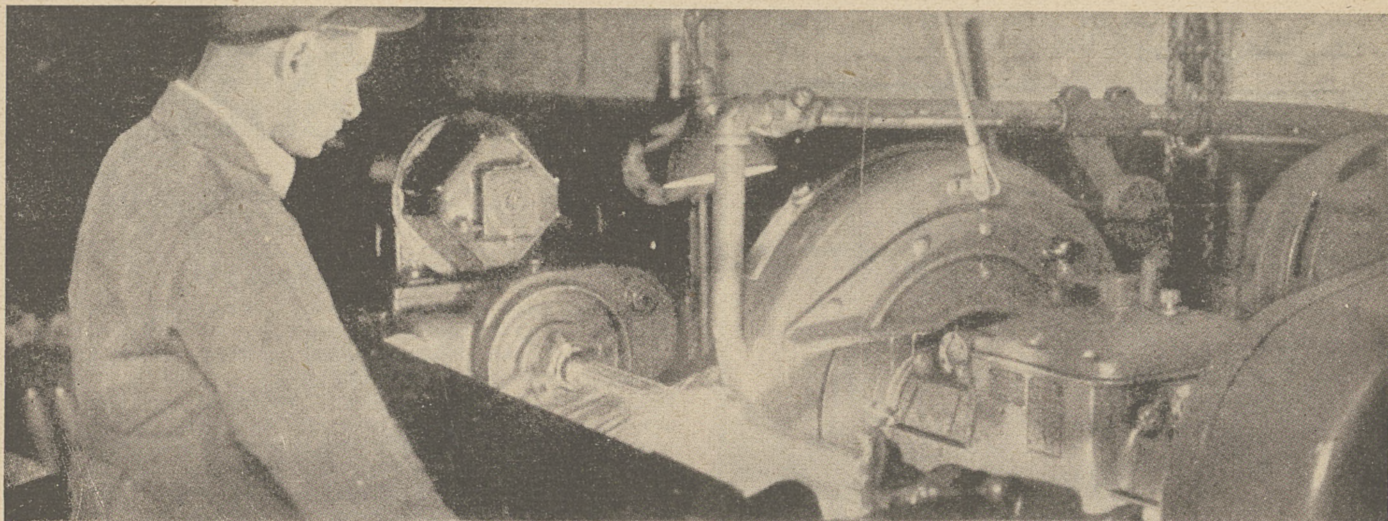
KWIECIEŃ 1939 R.

— Pierwszy miesiąc wiosny — kwiecień nie przyczynił się niczym do uspokojenia wojennych nastrojów w Europie. Mapa naszego kontynentu uległa nowej zmianie. Kilka dni przed świętami Wielkanocnymi rząd włoski wysłał pod adresem króla Albanni Achmeda Zogu propozycję, w której zażądał wprowadzenia swych wojsk na terytorium Albanni, utrzymując, iż wynika to z paktu przyjaźni włosko-albańskiej. Propozycje te, zresztą utrzymane w tonie ultymatywnym, rząd albański stanowczo odrzucił, uważając, że godzą one w niepodległość kraju. W odpowiedzi na to, pewnego kwietniowego poranka wojska włoskie wylądowały w Albanii, po krwawych walkach zajęły miasta nadbrzeżne i pomaszerowały do stolicy Tirany, napotykając po drodze na zacięty opór ludności i wojska, głęboko miłującego swą wolność. Po raz drugi jednak w tym roku siła zwyciężyła prawo.

Dla nas Polaków nie była jednak aneksja Albanii wydarzeniem najważniejszym ubiegłego miesiąca. Podróż polskiego min. spraw zagranicznych Józefa Becka do Londynu dowiodła, jak wielkie jest obecnie znaczenie Polski w układzie stosunków politycznych w Europie. W Londynie został podpisany angielsko-polski pakt o wzajemnej gwarancji granic tych krajów. Układ ten został w kilka dni później rozszerzony i na Francję, naszego drugiego sojusznika na wypadek wojny. Jest to układ dwustronny, dla równych sobie partnerów, a nie jednostronny, jaki charakter posiada deklaracja Anglii i Francji o gwarancji granic Grecji i Rumunii, ogłoszona w kilka dni po zaborze Albanii. Anglia i Francja po kilku latach biernego przypatrywania się zaborczym krokom Berlina i Rzymu, straciła wkońcu cierpliwość, zapowiadając, że każdy nowy akt gwałtu ze strony Niemiec i Włoch może rozpętać burzę światową. Dowodem tego, jak poważnie jest oceniana obecna sytuacja europejska jest wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej w konserwatywnej Anglii, która niechętnie przeprowadza u siebie zmiany. Również Ameryka chce za wszelką cenę powstrzymać świat, toczący się w szybkim tempie po równi pochyłej do przepaści, której na imię jest wojna. W dniu 15 kwietnia prezydent Stanów Zjednoczonych Rooswelt wysłał do Hitlera i Mussoliniego orędzie, w którym usiłuje obu dyktatorów powstrzymać od wojny, proponując im za to rozstrzygnięcie wszystkich spraw spornych na drodze pokojowej. Orędzie to zostało gwałtownie zaatakowane i skrytykowane przez prasę niemiecką i włoską, a kanclerz Hitler obiecał odpowiedzieć na nie dopiero 28 kwietnia. W dniu tym wygłosił on na posiedzeniu Reichstagu długą mowę, w której definitywnie odrzucił pokojowe pośrednictwo Ameryki, wysuwając jednocześnie nowe żądania kolonialne, powtarzając niedawne żądania oddania przez Polskę Niemcom Gdańska, oraz budowy przez Pomorze niemieckiej linii kolejowej i autostrady do Prus Wschodnich.

W mowie swej wypowiedział również polsko-niemiecki pakt o nieagresji i angielsko-niemiecki układ morski, wspominając jednak, że mogą być one na nowo zawarte, ale już na innych podstawach. Polska i Anglia nie chce już jednak zawierać żadnych paktów z kanclerzem Hitlerem, uważając, że nowe traktaty mogą być tak samo, jak i dawne podeptane przez butną i wiarołomną Germanię. Zerwanie przez Niemcy paktu z Polską i Anlią jest ostrzeżeniem dla wszystkich państw utrzymujących lub pragnących zawrzeć bliższe stosunki z Trzecią Rzeszą. Przez cały miesiąc kwiecień rozgrywała się wojna (narazie tylko dyplomatyczna) o Bałkany. Z jednej strony występowały państwa osi Berlin—Rzym, z drugiej wielkie demokracje zachodu: Anglia i Francja. Walka o Bałkany toczy się nadal, wszystko jednak zdaje się wskazywać na to, iż nie zakończy się ona zwycięstwem Włoch i Niemiec. Jugosławia chociaż pertraktuje z Rzymem i Berlinem, jednak nie żywi większej ochoty do bliższego związania się z nimi, Rumunia, Turcja i Grecja stoją otwarcie po stronie wrogów Trzeciej Rzeszy, a Bułgaria podobnie, jak i Jugosławia nie może się jeszcze zdecydować za kim się opowiedzieć. Świat czeka, czeka z bronią u nogi, wierząc jednak, że jeszcze nie wszystkie mosty na drogach wiodących ku pokojowi zostały spalone lub zerwane.

Jerzy Minor



Michał Walczak.

MIĘDZY WARSZTATEM I KSIĄŻKĄ

...Życie tych chłopców regulowane jest gwizdem syreny fabrycznej i dzwonkiem szkolnym. Syrena huczy o piątej i szóstej a potem na „fajrant" o czwartej lub piątej wieczorem. I już w dwadzieścia minut później dzwoni sygnał na lekcję. O dziewiątej wreszcie są wolni. Mogą wracać do domów, jeść, nic nie robić — spać. Ale kawał tego cennego czasu nocy pochłania jeszcze nieraz długa podróż koleją. Bo do fabryki i szkoły w mieście trzeba często dojeżdżać z podmiejskiego osiedla lub z głuchej i odległej wsi.

Fabryka, o której mowa, mieści się w wielkiej dzielnicy przemysłowej a szkoła — jak na złość — na drugim końcu miasta. W fabryce jest ich około setki. Są to praktykanci, czyli po dawnemu terminatorzy. Ustawa o pracy młodocianych zezwala na zatrudnianie ich od piętnastego roku życia.

...Wchodzimy do wielkiej hali fabrycznej, roztrzęsionej od stuku motorów i warkotu pasów. Wśród rosłych robotników w kombinezonach szukamy chwilę wzrokiem i — już jest. Mały, umorusany chłopak uwija się po hali, wypędzany co chwila przez starszych na posyłki.

A więc:

— Ile masz lat?

— Piętnaście — śmieje się mała rezolutna ale prawie dziecinna twarz.

— Do szkoły chodziłeś?

— Pewnie. Sześć oddziałów skończyłem. W Żyrardowie.

— A dlaczego tam nie pracujesz?

— Ja jestem metalowiec — powiada z dumą.

— A cóż taki „metalowiec", jak ty, robi?

— Wszystko się robi — wzrusza ramionami. Okazuje się, że to „wszystko" oznacza: spawanie, toczenie, wszelkiego rodzaju obróbkę, czyli same czynności najwyższego w fabryce rzędu. Dla ścisłości trzeba dodać, że robi nie on — uczeń. Robi majster, czeladnik, specjalista. A mały jest tylko przy tych wszystkich operacjach najmłodszym asystentem. Poda narzędzia, wymiecie, skoczy po wodę, ale przede wszystkim — patrzy. Patrzy majstrowi w palce, jak sroka w kość. Podpatruje i w ten sposób się uczy. Przez pierwszy rok i dwa zamiast upragnionych narzędzi trzyma najczęściej w ręce miotłę, oliwiarkę i kłaki. Utrapione kłaki, którymi trzeba czyścić wszystko, co tylko w hali zrobione jest z żelaza. Narzędzia, wszelkie klucze, wiertła i noże muszą błyszczeć jak lustro i wisieć w gablotece pod właściwym numerkiem, aby na żądanie z błyskawiczną szybkością znaleźć się w ręku „szefa".

No i wreszcie rzecz najważniejsza — maszyna. Idziemy wzrokiem wzdłuż hali: kilka tokarek, wiertarki, dalej jeszcze— frezarka i jakieś inne warsztaty. Uczniów na hali jest dwunastu. Z tego połowa jest na razie tylko „za gońca". Starsi i zdolniejsi są pod ręką przy maszynie.

Właśnie przy jednej z tokarek jest „stójka" i narada nad defektem. Trzeba zdjąć głowicę. Dwie pary młodych oczu bystro podpatrują te zabiegi. Już znają niektóre części tokarki, wiedzą co to „kły", „koniki", „suporty". A teraz uczą się remontu. Ale niedługo, bo z drugiego końca hali pada komenda:

"Ignac! Dawaj capka" — i Ignac musi pędzić po klucz. Drugi praktykant pomaga już przy tokarce od roku. Ma lat osiemnaście oraz wygląd i postawę wykwalifikowanego robotnika. Chodzi jeszcze do szkoły, jest dopiero na drugim kursie. Ale w fabryce mógłby już dawno być „samodzielny" tylko, że ustawa zabrania. Trzeba wpierw ukończyć szkołę dokształcającą. Za to w życiu jest już zupełnie samodzielny. W fabryce płacą mu nieźle, mieszka i utrzymuje się sam, rodziców — bezrolnych, ma na wsi.

Inny, nowicjusz — zwraca uwagę niecodziennym w fabryce ubiorem. Przychodzi do pracy w mundurku gimnazjalnym. Skończył dwie klasy, dalej mu nie szło i teraz chce — jak powiada — zostać wykwalifikowanym metalowcem a potem szukać szczęścia w C.O.P.-ie.

W gwarze i huku fabryki nie sposób odszukać innych. Jedni krają jakieś blachy, drudzy coś tam majstrują na uboczu, szukają, noszą... Nie mają czasu na rozmowy a im bliżej fajrantu tym więcej roboty. Wtedy, gdy maszyny już stają, idą w ruch miotły, polewacze, smary i kłaki. Warstwa tłustego kurzu ścierana ze stali przenosi się szybko na twarz czyściciela.

...I taki już idzie do szkoły. Okopcony, mokry od roboty, zdyszany. Chyba, że go przedtem wypędzą do umywalni. Ale czasu na prawdę jest mało. Pół godziny na przejazd rowerem lub tramwajem z Grochowa na Wolę, gdzie mieści się szkoła. Jeszcze nie przebrzmiało w uszach wycie syreny i już — dzwonek. Jeszcze nie ucichło w głowie od krzyku i łoskotu fabryki, a już — „na miejsca!, siadać"!", „proszę do tablicy!", książki, zeszyty — cały ten kram szkolny, jakby się nie było już młodym robotnikiem ale wciąż jeszcze sztubakiem z II-giej *b* klasy. Po grubej rączce zdzieraka ołówek wydaje się cienki jak zapałka a pisanie sztuką, którą przez dobrą chwilę trzeba sobie przypominać. Literki tańczą przed zmęczonymi oczyma jakby nanizane na pas transmisyjny. W ogóle — po zrzuceniu

kombinesonu wlazić codzień w skórę ucznia — to nie jest rzecz łatwa i nie każdy z nich to potrafi Trzeba nauczyć się prowadzić takie podwójne, pełne wysiłku życie: 8 godzin pracy fizycznej i 3 godziny — umysłowej. Nie wiadomo zresztą, co w tym wypadku jest bardziej uciążliwe. O tym przekonać się można tylko zetknąwszy się bliżej z ich pracą szkolną.

Klasy przestronne, nowoczesne, zaopatrzone w różnego rodzaju pomoce, jasne od lamp, ogrzane — takie klasy nie mogą odstręczać, przeciwnie — jak miło jest zagłębić się w wygodnej ławce i zanurzyć w ciszy lekcyjnej, przez którą sączą się spokojny głos wykładowcy. Co tu dużo gadać — głowa zaczyna się kiwać, — oczy się kleją... Niema w tym nic dziwnego ani gorszącego. Trzeba tylko, gdy zasypia strudzone ciało, starać się budzić umysł. Jest to najcięższe zadanie szkoły, którego nie osiągnie się ani rygorem ani represją.

...Wejdźmy na chwilę do klasy i zobaczmy, jak się to odbywa. W klasie I-ej „c" (bo klas pierwszych jest aż pięć) odbywa się właśnie lekcja materiałoznawstwa. Na tablicy wielkimi literami widnieje znak chemiczny acetylenu. Inżynier-wykładowca opowiada o jego zastosowaniu w przemyśle, ale — mój Boże — nie to jest ważne, o tym wszyscy wiedzą, przecież połowę klasy pieką oczy od całodziennego patrzenia w ogień acetylenu. Ważne jest to, że tu nareszcie dowiedzą się, jak się wytwarza, jakim cudem powstaje ten tajemniczy płomień, który łączy metale a ludziom bez maski wyżera oczy!

O piętro wyżej — na kursie drugim „a" klasa zawiera właśnie znajomość z koniem mechanicznym, zaś druga „b" ma lekcję maszynoznawstwa. Tu na specjalnych modelach inżynier kolejowy tłumaczy gromadzie wszystkie tajniki zębatego koła. Wśród młodzieży, która obsiadła przyciasne ławki, zwraca uwagę barczysty, ogorzały wielkolud, który z ogromną uwagą słucha wykładu, natomiast ołówek bezradnie obraca w palcach. Na przerwie przystępujemy do niego.—Pan w Warszawy? — N i e, z P o l e s i a, z D a w i d g r ó d k a. Przyszedł pieszo przed czterema laty. Pracuje w warsztacie mechanicznym jako wykwalifikowany robotnik. Ma jedną pasję: chce robić wynalazki. I jedno zmartwienie: jest niemal powrotnym analfabetą. Wyciąga z pod ławki jakieś książki o fizyce, nad którymi duka po nocach, a po chwili sięga w zanadrze i pokazuje przedmiot swej dumy, jeden z wynalazków, który „pan inżinier" pochwalił: jakiś skomplikowany mechaniczny przyrząd rysowniczy. Ale czytać i pisać uczy się dopiero naprawdę tu — w szkole wieczorowej. Powtarzanie takich podstawowych wiadomości odbywa się na lekcjach polskiego, rachunkach itp.

...I tak od niedzieli do niedzieli, od rana do nocy musi pracować bez przerwy każdy, kto chce zostać robotnikiem. Oczywiście robotnikiem o wysokiej kwalifikacji w dziale metalowym, tak ważnym dziś, gdy: „B u d u j e m y P o l s k ę z ż e l a z a", jak głosi jeden z napisów ściennych w szkole.

..Jest godzina 8,15 wieczorem, czyli koniec dnia roboczego. Tysiąc nóg zlatuje w tupocie z trzech pięter. Odbywa się teraz wyścig do pociągów i tramwajów a potem wysypuje się ze szkoły cała brygada rowerzystów. Byle jak najprędzej— spać. Niektórzy zajadą do domu na 12-ą, a o 5-ej trzeba wstawać. Jest to wysiłek przerastający wytrzymałość dorosłego człowieka, a cóż dopiero mówić o latach piętnastu i osiemnastu. Są to właśnie ciemne strony wielkiego dzieła, jakim jest w chwili obecnej k s z t a ł c e n i e p r a k t y k a n t ó w p r z e m y s ł o w y c h. Jest to bowiem naprawdę wielkie zadanie, które jak wiadomo w całości spoczywa na s a m o r z ą d a c h m i e j s k i c h. W samej Warszawie jest kilkadziesiąt szkół dokształcających we wszelkich gałęziach zawodowych, z ponad d z i e s i ą t k i e m t y s i ę c y młodzieży. Co rok wchodzi w życie fabryczne, rzemieślnicze i handlowe armia młodych czeladników, co rok Warszawa — która ma najlepiej rozbudowane szkolnictwo dokształcające — dostarcza wykwalifikowanych sił ośrodkom przemysłowym a zwłaszcza nowopowstającym zakładom w C.O.P.-ie. Albowiem „C.O.P. żąda kwalifikacji" — taki napis jedna z klas powiesiła sobie nad tablicą. Nietylko C.O.P. Życie żąda dziś kwalifikacji przemysłowych i gospodarczych i za posiadane kwalifikacje dobrze wynagradza. Dlatego co roku odchodzą od bram szkoły setki młodzieży, dla których niema już miejsca, bo nie można nastarczyć ani gmachów, ani inżynierów, ani komunalnych finansów. Za to młodzież przyjęta uczy się doprawdy mimo przemęczenia z podziwu godnym zapałem, którego darmo dziś szukać w zwyczajnych szkołach, gdzie nie trzeba cały dzień fizycznie pracować. Wystarczy się t y l k o uczyć.

Znajomość języków obcych a potrzeby wojska

Rozpowszechnienie znajomości języków obcych wśród uczni szkół średnich i młodzieży przedpoborowej nie stoi jeszcze na wysokości potrzeb wojska. Dla wojska jest pożądane, aby zwłaszcza ci młodzieńcy, którzy pragną się poświęcić służbie stałej, władali biegle w mowie i piśmie przynajmniej jednym z języków naszych głównych sąsiadów, a więc rosyjskim lub niemieckim, jeśli przyswojenie sobie języków pomniejszych narodów natrafia na przeszkody.

Starsze pokolenie włada biegle jednym lub kilkoma językami obcymi i państwo wykorzystuje te ich umiejętności. Ale pamiętać trzeba, że pokolenie to już odchodzi, a w niedługim czasie odejdzie z szeregów czynnego życia społecznego, i że w związku z tym coraz częściej będą poszukiwani młodzi ludzie, którzy będą mogli zająć w handlu, przemyśle, urzędach i wojsku stanowiska wymagające znajomości języków obcych.

Żadna szkoła nie może dać całkowitej umiejętności biegłego władania językiem obcym, daje ona bowiem jedynie podstawy znajomości języka, które powinny być rozwinięte własną pracą ucznia. Młodzieniec zatem, pragnący poświęcić się stałej służbie wojskowej, powinien niezależnie od przerabianego programu w szkole, zaprawiać się praktycznie w opanowaniu wybranego języka obcego.

Uzupełnienie znajomości języka niemieckiego będzie o tyle łatwiejsze, że język ten jest w programach szkół średnich. Trudniej będzie z językiem rosyjskim, ponieważ nie jest on jeszcze uwzględniony w naszym szkolnictwie. Jednakże język rosyjski, jako słowiański jest dość łatwy dla Polaka i bez trudności może być opanowany przy dobrej woli, poza szkołą.

Należy również zwrócić uwagę, że młodzież szczególnie podczas ferii letnich powinna wykorzystać okazję do nauki języka obcego. Jeżeli je spędza np. w województwach wschodnich lub zachodnich, ma zawsze możność poznać w tamtych stronach osoby władające językiem rosyjskim wzgl. niemieckim, z którymi obcując, łatwo i bez dodatkowych kosztów uzyska praktyczną zaprawę w opanowaniu danego języka obcego.

Lepsza niż dotychczas znajomość języków obcych wśród młodzieży będzie znaczną ulgą zarówno dla szkół wojskowych wszystkich szczebli, jak i dla samych uczni, nie mówiąc już o tym, że młodzież znająca obce języki mogąc korzystać z obcej literatury fachowej, w ogóle łatwiej będzie sobie dawała radę w życiu.

Koleżanki i Koledzy, którzy otrzymywali w ciągu roku szkolnego pismo nie płacąc za nie proszeni są o uiszczenie zaległej prenumeraty do dnia 15.VI. bieżącego roku.

KRONIKA STRAŻOWA

KRONIKA ODCINKA MĘSKIEGO

Odwołanie zlotu w Krakowie

Ze względu na obecną sytuację polityczną Prezydium Rady Naczelnej S. P. na posiedzeniu w dniu 28.IV. b. r. postanowiło odwołać zlot delegatów zespołów i instruktorów zapowiadany na dzień 27—28 b. r. w Krakowie. Równocześnie Prezydium R. N. postanowiło przekazać zł. 1000 jako równowartość wydatków administracyjnych zjazdu na rzecz F.O.M. oraz wezwać delegatów zgłoszonych na zjazd zespołów i instruktorów do wpłacania na ten cel kwot, które przeznaczyli na wydatki związane ze zlotem.

Ze względu na odwołanie zjazdu Prezydium R. N. wzywa ob. ob. uczestników i instruktorów do wzmożonego udziału w obozach — maksymalnego nasilenia akcji obozowej i jak najsumienniejszego wykonywania wszelkich obowiązków związanych z przygotowaniami do obrony kraju.

Naczelnik Organizacji przypomina zespołom, które dotychczas nie nadesłały sprawozdań ze strzelań lub ich nie przeprowadziły, o konieczności niezwłocznego wyrównania tych zaniedbań. Gremialny udział zespołów w zawodach strzeleckich i ich wyniki niech będą świadectwem gotowości młodzieży strażowej do czynnej obrony granic Rzplitej.

5 lat S. P. w Płocku

W dniu 23 b. m. w Płocku odbyła się uroczysta odprawa miejscowych zespołów poświęcona pięcioleciu założenia S. P. w Płocku. W odprawie wzięli udział: Naczelnik Organizacji M. Witkowski, Naczelnik Okręgu Warszawskiego Fr. Grzesło i Kierownik Obwodu ob. J. Świecik. Władze szkolne reprezentował p. Dyr. Hilszer. Na zakończenie odprawy Naczelnik Organizacji przyjął ślubowanie uczestników.

Odprawa zespołu akad. w Poznaniu ku czci ś. p. pułk. W. Sławka

W dniu 30.IV. odbyła się w Poznaniu odprawa zespołu akademickiego poświęcona pamięci ś. p. pułk. Walerego Sławka. Referat o życiu i działalności zmarłego wygłosił Prezes Rady Okręgowej prof. dr. Zygmunt Pietruszczyński. W odprawie wzięli udział ponadto Naczelnik Organizacji i Naczelnik Okręgu Poznańskiego.

KRONIKA ODCINKA ŻEŃSKIEGO

1. Konferencja w sprawach obozowych i P. W.

W Warszawie 3.V. b. r. odbył się Zjazd ob. ob. Naczelniczek i Komendantek obozów dla omówienia akcji letniej i spraw związanych z udziałem żeńskiej Straży Przedniej w pracach Organ. Przysp. Kobiet do obrony kraju.

Tegoroczne obozy letnie z uwagi na wyjątkową sytuację nabierają specjalnego znaczenia i mają duże zadania do spełnienia. Prace na kresach zachodnich, podlegających bardzo silnym wpływom zewnętrznym, wymaga od każdej uczestniczki obozu na tym terenie wielkiej czujności i starannego przygotowania. Obozy nasze na kresach północnych i wschodnich mają niemniej ważne zadania do spełnienia. To też wytyczne programowe tak w zakresie pracy propagandowej, świetlicowej i ogniskowej jak i w zakresie tzw. „pogotowia moralnego" elementu polskiego, były tematem bardzo szczegółowej dyskusji. Uzgodniono ramy ogólne dla naszej tegorocznej akcji obozowej, do której powodzenia przywiązuje Organizacja bardzo dużą wagę.

W drugiej części obrad omówiono szczegółowo obowiązki i zadania żeńskiej S. P. w zakresie zagadnienia przysposobienia kobiet do obrony kraju. Nasza przynależność do Org. Przysp. Wojsk. Kobiet nakłada na nas szereg obowiązków, które muszą być spełnione.

W obradach wzięli udział ob. Prezes J. Jędrzejewicz, ob. Wiceprezes K. Makuch i ob. Naczelnik Org. M. Witkowski.

2. Zarządzenia w sprawach obozów

Ob. Naczelniczka Organizacji wzywa wszystkie uczestniczki do zgłoszenia się do pracy na obozach.

Obowiązkiem każdej obywatelki jest w chwili obecnej poświęcenie 4 tygodni wakacji na pracę w terenie. Mamy tu bardzo wiele do zrobienia, musimy wykonać szereg zadań. Nie może w tej pracy nikogo z nas brakować. Tereny obozów są wybrane w ścisłym porozumieniu z miarodajnymi czynnikami, które roztoczą nad nami opiekę. Obozy muszą być wyrazem naszej gotowości i sprawności obywatelskiej.

Za pośrednictwem ob. Instruktorek należy dopełniać szybko formalności związanych ze zgłaszaniem się na obozy.

3. Przygotowania do pracy obozowej

Czasu zostało nam bardzo mało. Trzeba zwiększyć tempo pracy, wzmocnić wysiłki. Każdy zespół jest obowiązany za pośrednictwem ob. Instruktorki zgłosić na ręce ob. Naczelniczki danego Okręgu projekt programu ogniska czy świetlicy (przystosowany do warunków terenu obozu okręgowego).

Dla ułatwienia załączamy nieco bibliografii:

Czasopisma: Teatr Ludowy — miesięcznik 5 zł. rocznie;
Oświata pozaszkolna — miesięcznik, b. dużo materiału i do ognisk i do świetlic;
Wieczory świetlicowe — Brześć n/Bugiem 3 zł. rocznie;
Śpiewniki: Śpiewnik strzelecki — Szkoła junacka 4 zł. 50 gr.
Teatr z pieśni — Stolarzowa;
Pieśni inscenizowane — Turowiczówna;
Pieśni inscenizowane (taneczne) Mierzejewska.
Gry i zabawy w świetlicy — część I, II — Rembowski.

Ogólne

1. Naczelniczka i Naczelnik Organizacji byli przyjęci w m. kwietniu przez p. wiceministra Maciszewskiego i p. dyrektora Departamentu Ogólnego dr. Pollaka, których poinformowali o bieżących pracach w Organizacji i planach akcji obozowej.
2. W m. kwietniu odbyły się 2 zebrania Prezydium Rady Naczelnej.
3. 14.V. r. b. odbędzie się zebranie Rady Naczelnej poświęcone sprawozdaniu finansowemu i planom akcji obozowej.

„OJCIEC WIRGILIUSZ UCZYŁ DZIECI SWOJE".

W „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" ukazał się niedawno osobliwy artykuł. Autor kryjący się pod pseudonimem „Ojciec" zaszczycił uwagą nasze czasopismo i przedrukował zeń całą szpaltę, opatrując ją w dodatku sążnistym komentarzem. Razem jakieś dwieście wierszy. Biorąc pod uwagę nakład i poczytność krakowskiego dziennika, można powiedzieć, że staliśmy się sławni.

O cóż chodziło? Pod sensacyjnym tytułem czytamy w I.K.C. ni mniej ni więcej, tylko, że „14-letni uczeń" błagalnie prosi redakcję „Młodych Oczu", że „chce być jeszcze dzieckiem", a nie pozwala mu na to... reforma szkolna. Nieznany a strapiony „Ojciec" martwi się w I.K.C., że „dzięki czyjemuś niedopatrzeniu pojawiła się „W Młodych Oczach" druzgocąca krytyka systemu i niemal błagalna prośba o pomoc w położeniu bez wyjścia..."

No cóż... Winniśmy wyjaśnienie. W wyniku „druzgocącej krytyki systemu" — redaktora naczelnego „W Młodych Oczach", nie zważając na jego „błagalne prośby" osadzono w miejscu odosobnienia, pouczając, iż w razie ponownego etc. będzie musiał na mocy art. 5 Ustawy prasowej z dnia etc. w brzmieniu etc. drukować na swych łamach wszystkie artykuły nieznanego ojca, wujka, stryjenki i jeszcze kilku ciotek.

No, ale bzdury na bok. Nie zdziwiliśmy się, gdy oburzony ów „14-letni uczeń" przeczytawszy I.K.C. napisał do nas długą i gwałtowną replikę. Nie mogąc z braku miejsca drukować jej w całości, podajemy tylko najbardziej istotne oświadczenie:

„...Czytam w I. K. C., że mój skromny list do redakcji „W Młodych Oczach" był atakiem na reformę szkolną, czytam i — oczom nie wierzę. Mimo, iż mam 17 a nie 14 lat, przyznaję ze wstydem, że nie miałem zamiaru zajmować się systemami nauczania. Sądzę zresztą, że gdyby „14-letni chłopcy" mieli w tych sprawach decydować, szkoły zniknęłyby napewno z kuli ziemskiej.

„Do „ojca" mam głęboką urazę za „stachanowca". Myślę, że doprawdy nie wypada z swoich „dzieci" robić publicznie komunistów. Chcę na koniec wyjaśnić, co miałem na myśli, pisząc „Na rozdrożu". Chodziło mi poprostu o... informator dla młodzieży. Nie o wartość reformy lecz o „drogowskazy i dane". Byłaby to poprostu książka, w której znalazłby się wykaz liceów, przedmiotu w nich wykładane, warunki przyjęcia, uprawnienia po ich ukończeniu itd. Korzystając z okazji, tę „błagalną prośbę" powtarzam raz jeszcze. Sądzę zresztą, że treść mego listu była pod tym względem jasna i prosta. Zachodzę tylko w głowę, jak trzeba być tendencyjnym, żeby tak sens czyichś słów przekręcić i urobić na swój sposób. Dla mnie osobiście wydaje się to wysoce demoralizującym.

Łączę wyrazy poważania *W. WRÓBEL*

Tak, tak. Źle „Ojciec" Wirgiliusz uczy dzieci swoje.

WYDAWCA IMIENIEM STRAŻY PRZEDNIEJ: BOLESŁAW WASYLEWSKI

REDAGUJE KOMITET

Zakłady Graficzno-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8 (gmach własny)

„MŁODE OCZY" NA PARADYZIE

„BRAT MARNOTRAWNY" — TEATR MAŁY

Komedia Oskara Wilde'a na scenie Teatru Małego nie sprawia widzom zawodu, jak to nieraz się zdarza z lekkimi utworami, opatrzonymi firmą wielkiego nazwiska. Poeta jest w tej komedii takim, jakim go zna z czytania czy też tylko ze słyszenia publiczność literacka. Mistrz paradoksu ułożył swą sztukę z aforyzmów i sentencji, które mimo iż zakrawają na kpiny z logiki i zdrowego rozsądku, zawierają spostrzeżenia prawdziwe, pełne melancholii lub też ironii i szyderstwa. „Czyż sfery niższe nie istnieją po to, by świecić nam przykładem?" — zapytuje przedstawiciel arystokratycznego rodu, oburzony faktem istnienia na świecie podrzutków. Cała komedia skrzy się od tych powiedzeń, perli się ponadto pysznym scenicznym humorem, obracającym się najczęściej w sferze „pure nonsens", nie tracąc mimo tego na logice fabuły i wydarzeń. Intryga zawiązana i rozwiązana poprawnie, aczkolwiek oryginalna należy zresztą do najsłabszych stron sztuki. Sztuka zyskała doskonałą obsadę, przez zespół aktorski, który w bieżącym sezonie teatralnym zebrał chyba najwięcej oklasków od widowni. Są to: Wysocka, Nakoneczna, Ziembiński i Wojtecki. Na tym tle wystąpiła dawno niewidziana M. Przybyłko-Potocka, której olśniewający genre sceniczny podziwialiśmy z całą widownią. Reżyseria sprawna Ziembińskiego, dekoracje udane p. Węgierkowej.

NESTROY W TEATRZE „BUFFO"

Stary wodewil Nestroya przerobiony przez poetę (Tuwim), odegrany przez tragika (i to jednego z najlepszych — Węgrzyna) „na czele zespołu" to widowisko z jednej strony dość niesamowite, z drugiej mogące budzić zainteresowanie. Daremnie jednak oczekiwaliśmy przedstawienia o owym typie „buffo", gdzie wszystko jest pozą i kpiną, gdzie rzecz dzieje się na pograniczu groteski i czystego nonsensu a za sens ma odpoczynek od teatru tragedyj i dramatów. Dzieje się tu licha komedyjka małomieszczańska z przygodami z operetki i gdyby nie jędrne słowo i świeży dowcip tekstu oraz niezwykła kreacja Węgrzyna, który z zwykłego subiekta stworzył typ pełen groteski i grozy, wyszlibyśmy z tego przedstawienia, jak z oryginalnego wodewilu Nestroya.

„PENSJONAT WE DWORZE" — TEATR LETNI

Jeden z recenzentów wyraził się o tej komedii Stefana Kiedrzyńskiego, że ukazaje ona w całej pełni uzdolnienia autora i braki jego utworów. Komedii brak jest szkieletu kompozycyjnego, około którego „obrosłoby" to wszystko, co dowcipnego, prawdziwego i interesującego ma autor widzowi do powiedzenia. Pensjonat we dworze jest nienajlepszym tłem, na którym przesuwa się cała galeria figur ze świata mieszczańskiego. Są to „figury" przez wielkie F i małe marionetki, którymi rządzi tylko ich kaprys, temperament lub... żołądek. Komedia jest w gruncie rzeczy gorzką satyrą, w której oszczędzone zostało tylko — tak podatne do satyry ziemiaństwo. Mieszczuch na letnisku dworskim został wyśmiany w każdej formie, od dygnitarza począwszy, na typowym „szarym człowieku" skończywszy. I choć Kiedrzyński wkłada w jego usta piękne pouczające zdania o moralności społecznej, przecież tak dalece niepoważny jest ten szary człowiek, że żadną miarą nie możemy go brać na serio. Sporo w tym zresztą winy bardzo śmiesznego Orwida. Całość w reżyserii Borowskiego oraz dzięki grze p.p. Zaklickiej, Gelówny, Żabczyńskiego, Hnydzińskiego i in. wypadła udatnie. Teatr spełnił tu swą najlepszą rolę: publiczność bijąc brawa oklaskiwała surowy sąd nad sobą samą.



ZAPOMNIANA MELODIA

Przypomniany motyw i zapomniany rodzaj filmowy (operetka) nie dały w połączeniu dobrego wyniku. Śpiewający mydlarz, amant w trykotach, dwadzieścia „pseudo-durbinek", stary nauczyciel śpiewu, przełożona w binoklach etc. — wszystko to stare, standartowe typy naszej farsy filmowej mające niezawodne środki na rozśmieszanie widowni. Tym razem mimo, iż cały ten humor był śpiewany, grany, tańczony i oblewany „wódą" — gwarancje zawiodły. Widownia siedziała ponura i smutna.

LUDZKIE SERCA

Wallace Beery wychował już niejedno pokolenie „cudownych dzieci" filmowych. Jego obecny młody partner w zupełności zasługuje na zaszczyt gry z „czempem". Mickey Rooney świetnie jeździ konno i wzrusza się nie na żarty, gdy o końskie sprawy idzie. Ten „koński" film ukazuje nam „ludzkie serca" w pięknym, prawdziwym i interesującym świetle. Jeszcze tylko w amerykańskim filmie można usłyszeć, jak brzmi słowo w prawdziwym „plenerze".

PANNY NA WYDANIU

Deanna rośnie jak na drożdżach w odróżnieniu od dobrze zakonserwowanej Schirlejki. Nowy film Durbin niesłusznie został skrytykowany przez prasę filmową. Ani aktorzy ani scenariusz ani nasza „gwiazdka" nie jest gorsza niż w filmach poprzednich. Przeciwnie — komizm scenariusza, gra i śpiew aktorki technicznie coraz lepsze. Poprostu — Deanna przestała już być nowością. Ma swoich wypróbowanych przyjaciół i takich, którym się już sprzykrzyła. My należymy do pierwszych.

„MOI RODZICE ROZWODZĄ SIĘ"

Jest to typ dramatu o poziomie ludowym z życia średniomieszczańskiego. Podkład psychologiczny, jak w starych filmach niemieckich. Morał skierowany jest przeciw rozwodom, w imię dobra dzieci. Aktorzy mówią językiem groszowych powieści, uzupełniając tekst z własnej inicjatywy błędami językowymi w rodzaju „jakżeśmy przyszli", „takżem tęskniła" itp. Jak w każdym filmie — główną rolę gra Junosza-Stępowski, tym razem starannie i prawdziwie. U p. Jadzi Andrzejewskiej, mimo najszczerszej chęci nie mogliśmy się dopatrzeć wyglądu dziecka. Wyglądała raczej na... własną ciocię, rzecz samą odgrywającej zresztą z właściwym sobie talentem. Brodniewicz, jak zwykle, czarujący. W reżyserii — nic nowego. Walce z rozwodami film oddaje niedźwiedzią przysługę.

Koleżanki i Koledzy!

Pamiętajcie o trzech „P":

prenumerować

propagować

pisać

W MŁODYCH OCZACH

CZASOPISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

wyd. przez Organizację Pracy Obywatelskiej Młodzieży

S T R A Ż   P R Z E D N I A



WARUNKI PRENUMERATY

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ **3.00**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA ZŁ **1.50**

Cena pojedyńczego numeru 30 gr

NALEŻNOŚĆ WPŁACAĆ PRZEKAZEM ROZRACHUNKOWYM Nr. 275

z zaznaczeniem na odwrocie: pren. „W MŁODYCH OCZACH"

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI

WARSZAWA, ŚWIĘTOKRZYSKA 30, M. 8

Zakłady Graf.-Introligatorskie J. DZIEWULSKI, Warszawa, Mariensztadt 8